Nr. 1. Rok II.

We Lwowie 1. Stycznia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

Rozpoczynając nowy kwartał wydawnictwa naszego pisma, winniśmy zdać choć w kilku słowach sprawę z dotychczasowej naszej działalności.

„„Ziarno“ jest jedynem pismem w Galicji, które przypomina swym czytelnikom, że istnieją jeszcze jakieś idee postępowe...“ Tak wyraził się o naszem piśmie warszawski „Przegląd Tygodniowy.“ Zdanie to jednego z nielicznych pism postępowych w Królestwie jest dla nas zaszczytem. Nie dotykając kwestyj politycznych staraliśmy się zaznaczać ten kierunek na polu społecznem, literackiem, naukowem i artystycznem. Przejawiał on się w naszych artykułach wstępnych, w nowelach oryginalnych i tłumaczonych, w artykułach naukowych, nawet w drobnych wiadomościach z literatury, nauk przyrodniczych, historji itd. Nie oglądając się na żadne powagi, nie hołdując żadnym przesądom, nie dotykając jednostek, bez żółci i uprzedzeń mówiliśmy zawsze i wszędzie to, o czem jako o prawdzie głęboko byliśmy przekonani. W tym kierunku będziemy iść dalej, starając się, aby pismo nasze było jak najbardziej zajmujące i urozmaicone, aby czytelnikom obok rozrywki podawało wiadomości pożyteczne, słowem, aby należycie spełniało zadanie *jedynego pisma literackiego* w Galicji. W załączonym rejestrze znajduje się spis rzeczy, drukowanych w ubiegłym kwartale, z którego czytelnicy przekonać się mogą, jak obfity i rozmaity materjał zawierają dotychczasowe numera naszego pisma.

Przekonawszy się o zewnętrznych brakach naszego pisma, z Nowym Rokiem zmieniamy papier na lepszy, tudzież winietę.

„Ziarno“ wychodzić będzie nadal co sobotę po południu, w objętości półtora arkusza druku z okładką inseratową w formacie niniejszego prospektu, na tym samym papierze — i zawierać będzie:

Artykuły wstępne, nowele oryginalne i tłumaczone, poezje, artykuły naukowe, przeglądy literackie, teatralne i muzyczne, kroniki tygodniowe pt. „Ziarnka“, zapiski literackie, artystyczne i naukowe, wreszcie miscelanea.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Nowi prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

Lwów 1. stycznia 1883,

Bolesław Spausta. *Bolesław Czerwieński.*

Nr. 1. We Lwowie dnia 1. Stycznia 1883. Rok II

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1|_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Negatywna moralność.

W człowieku wszystko kształci się i rozwija. Filozofia dawno już przyszła do przekonania, że idee wrodzone nie istnieją, a poznanie dobra, piękna i prawdy, zależy od stopnia wykształcenia człowieka, od wychowania, okoliczności, wpływów...

Toż i odwrotnie, stopień tego przeczucia jest wskazówką cywilizacyi danego społeczeństwa, a wszelkie utwory ludzkiego umysłu, prawa i urządzenia społeczne są dla badacza dowodem stanu, w jakim się społeczeństwo znajduje, a jeżeli prawdą jest, że moralność jest podwaliną ludzkości, to wyobrażenia o moralności w danem społeczeństwie będą wyrocznią jego losu i bytu.

Oceniając z tego stanowiska życie nasze przyjść musimy do nader smutnego przekonania. Moralność nasza jest, niestety, tylko negatywna.

Żyją pośród nas ludzie, którzy szczycą się szacunkiem, nie powiemy ogółu, ale znacznej liczby osób, bez rzeczywistego powodu i zasługi. Chórem powtarzają o każdym z nich: to zacny człowiek, to honorowy człowiek i t. p. podczas gdy w istocie pokazuje się, że ten człowiek faktycznie nigdy nie zrobił nic dobrego nikomu a tem mniej społeczeństwu, że zasługą jego jest tylko tyle, iż przez cały ciąg długiego (naturalnie) żywota, nic nie ukradł i nikogo nieoszukał, że słowem należy on prędzej do królestwa roślin, niżeli do ludzi, że życie jego całe jest rodzajem wegatacji nieszkodliwej wprawdzie, ale także niepożytecznej.

Otaczając tego człowieka szacunkiem niezasłużonym, społeczeństwo wydaje sobie nader smutne świadectwo, dowodzi, że znajduje się dotychczas w stanie dziecka, niezdającego sobie sprawy z tego, co złe a co dobre.

Przykład drugi: Są ludzie, których opinie ogółu zupełnie słusznie surowo potępia. Zdrowe towarzystwo, rozumne i uczciwe odrzuca od siebie takie zgniłe części, operuje gangrenę i wycina wrzody. Anemiczne społeczeństwo nasze, bojące się operacji i puszczenia krwi, nie czyni tego i zamiast wzgardy zna dla ludzi tego rodzaju, co najwięcej obojętność. To nie wystarcza, to dowód, że organizm nasz jest chory.

Ale na tem nie koniec. Oba przytoczone przykłady są objawem smutnym, ale nie są być może wadą ogólną. Gorszą stokroć rzeczą jest coraz bardziej szerząca się zaraźliwa obojętność na wszystko.

Ileż to razy słyszymy narzekania na to, że ludzie źli i ograniczeni wciskają się wszędzie, że przewodzą i ton nadają, ale skargi to próżne i dziecinne. Ci, co apatycznie usuwają się od wszystkiego i dają pole do działania wyzyskiwaczom niemają prawa do narzekania i żalów.

Dobrze jest spełniać obowiązek w ciasnym zakresie swego działania, ale od pracy dla dobra ogółu nikomu się usuwać nie wolno.

Żywot ślimaka dobrym jest dla ślimaków, życie człowieka jest pracą i walką.

Kto ją za zabawkę uważa i z obojętnością usuwa się od każdej pracy obywatelskiej, ten może się doczekać uznania podobnego i pochwały, jakie należą się dziecku, które bawiło się grzecznie i niepopsuło cacka. Są to umarli, którzy niechaj grzebią umarłe swoje.

Cierpliwość, spokój i cierpieaie nawet nie wystarcza.

Są to cnoty bierne, a tem samem negatywne, które niczego nie budują i nie porwą do naśladownictwa. Życie ludzkie jest pracą i czynem; pracy więc i czynu przedewszystkiem potrzeba społeczeństwu, które niechce umrzeć na uwiąd starczy. Czyn dla dobra ogółu jest najwyższą moralnością i cnotą i o taką moralność wołamy.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

Urodziła go w brudnej, zimnej izbie małomiejskiej karczmy, ośmnastoletnia, piękna dziewczyna. Późnym już wieczorem szkaradngo dnia listopadowego, przywlokła się była tu pieszo z małem zawiniątkiem w ręce, i kilkunastu guldenami w kieszeni. Stary Abramko, właściciel karczmy, znający doskonale wszystkich mieszkańców okolicy, zdumiał się, ujrzawszy o tak późnej porze wchodzącą do izby szynkownej „pannę Katarzynę od pani hrabiny"; zdziwił się bardzo, gdy usłyszał, że go prosiła o pozwolenie przenocowania, a po chwili okazywana na razie uprzejmość ustąpiła miejsca chłodnej obojętności, gdy w ciągu indagacji usłyszał, że przybyła nie jest już w służbie u „jaśnie

pani.“ Zapewnienie jej, że za nocleg i jaki taki posiłek chętnie zapłaci żądaną kwotę, skonwinkowało cokolwiek Abramka — przypomniał sobie, że na drugiej stronie domu stoi pustką „gościnny pokój“ i ofiarował go padającej z nóg dziewczynie, zapowiadając z góry, że kosztuje za dobę pięćdziesiąt krajcarów — ale bez opału! — dodał. Słów parę o tej pannie Katarzynie... Dziesięcioletnią sierotę po ekonomie, wzięto do pałacu, do garderoby, jak mówiono „z łaski,“ chcąc jej tem nagrodzić stratę ojca, który służąc uczciwie i wiernie kilkanaście lat w jednym z folwarków bogatej pani, nadmiar gorliwości przepłacił życiem. Popsuło się coś było w młocarni parowej, mechanik w tej chwili nie był pod ręką, i ów ekonom, żałując pańskiego czasu i pracy, by nie zmarnować kilku godzin, usiłował sam zastąpić mechanika. Niewprawny zabrał się de roboty niezręcznie, koło zgruchotało mu rękę, i umarł po kilkudniowych męczarniach. Że był wdowcem i miał jedno dziecię, ową Kasię, która nagle została sama jedna, pani hrabina zasłyszawszy o tragicznym wypadku i sierocie, kazała ją zabrać do pałacu i umieścić w garderobie. W kilka lat, Kasia wyrosła na dorodną dziewczynę — że była zręczna, nadzwyczaj pojętna i ochocza do roboty, pani ją polubiła bardzo i zamianowała swoją przyboczną „panną służącą“. Wywołało to ogromną zazdrość w dość licznym fraucymerze pałacowym, a szczególnie rozsierdziło niejaką pannę Barbarę, długoletnią i wyłączną adjutantkę i powiernicę bogatej pani. Nie dziwna to wcale, bała się współzawodnictwa w łaskach chlebodawczyni, zresztą stanowisko zausznicy i totumfackiej, dawało jej znaczne prerogatywy wśród tłumu sług obojga płci. — więc też Kasia wyawansowana tak rychło, choć dla wszystkich grzeczna i dobra, nie miała przyjaciół w pałacu. Minęły tak ze dwa lata, gdy pewnego poranka pani hrabina, odbywszy długą konferencję z panną Barbarą w cztery oczy w swoim gabinecie, rozkazała wydalić natychmiast ulubioną dotychczas Kasię ze służby i pałacu. Dowiedziała się, że Kasia ma zostać matką...

Właśnie rok upływał, jak w domu bawił ukochany jedynak bogatej pani, wróciwszy po kilkuletnim pobycie za granicą, gdzie z wielkim sumptem starano się o tz. „wyższy“ polor światowy i... odrobinę wiadomości encyklopedycznych dla rozpuszczonego, okropnie leniwego, a jedynego spadkobiercy starego rodu i licznych włości. Zaledwie pobył kilka miesięcy, zaczęły krążyć po korytarzach i garderobach pogłoski, podawane w tajemnicy z ust do ucha, że „panicz“ szczególnie zaglądał za piękną Kasią... Oczywiście, najbardziej zgorszoną tem czuła się czterdziestoletnia panna Barbara, choć jak potem szeptano sobie, sama podobno ułatwiała paniczowi zalecanki do sieroty... Doświadczona panna Barbara, wiedziała zapewne, czem to się skończy, a znając przytem surowe w tej mierze zapatrywania swej pani, czekała tylko sposobności, by jej otworzyć oczy i pozbyć się niebezpiecznej rywalki. Niedługo na nią czekała... Panicz wyjechał na kilkutygodniowe polowanie do odległych dóbr, a na drugi dzień późnym wieczorem, Kasia pieszo dotarła do odległego o kilka mil powiatowego miasteczka.

Gdy się znalazła w owym pokoju gościnnym u Abramka, rzuciła się co prędzej na łóżko, bo znużenie waliło ją z nóg. Przyniesiono jej szklankę gorącego mleka, by się niem ogrzała — ledwie go trochę nadpiła. Mdłe światło łojówki szabasowej, okopcone ściany brudnej i zimnej ciupki, twarde łóżko, wszystko to okropnie jej wyglądało po schludnej, ciepłej i przestronnej garderobie pałacowej... Bardziej nad to przygnębiała ją myśl, co jutro ze świtaniem słońca pocznie z sobą biedna?

W małem, ubogiem miasteczku służby ni zajęcia nie dostanie — zresztą wstyd by jej był przebywać tu, pod boki m pałacu, z którego ją z hańbą wygnano, i gdzie zostawiła wspomnienie kilku chwil szczęśliwie przeżytych... Nie miała ni rodziny, ni znajomych, do których by zapukać mogła o przytułek choćby czasowy, całe jej mienie składało się ledwie z kilkunastu guldenów, wypłaconych jej na odchodnem, i kilku sukienek, pochwyconych z kółka w pospiechu. W prawdzie świat szeroki stał jej otworem, lecz czyż znajdzie gdzie wśród niego odrobinę miłosierdzia nieszczęśliwa sierota, ofiara chwilowego szału i zapomnienia?... Z kolei wróciła się myślą w czasy dziecinne, tak piękne i szczęśliwe — w porównaniu z późniejszem życiem — przypomniała sobie ojca — jego śmierć — otrzymane odeń błogosławieństwo, gdy konał — i zaczęła płakać cicho — lecz tak rzewnie i gorąco, że się jej lżej zrobiło na sercu i duszy. Wśród płaczu usnęła.

Niespała jednak długo. W kilka godzin obudziły ją okropne bole... a tu sama była, i omdlewającej co chwila nie było komu podać łyżkę wody, a sił nie miała — tak nagle zaniemogło biedactwo — by się zwlec i prosić żydów o ratunek. Bóg jeden wie, wśród jakich mąk doczekała ranka. Słysząc krzątanie się po sieni — ostatnim wysiłkiem zawołała raz i drugi: Panie Abramku! — na krzyk ten wszedł rozespany jeszcze stróż karczemny. Przyniósł wody w kwarcie, i na jej żądanie przywołał starą Abramkowę. Przed nią wyznała Kasia, ukrywszy głowę w dłoniach, w jakim znajduje się stanie, i że te bole zwiastują prawdopodobnie, przyspieszoną — skutkiem przebytych wrażeń i pieszej drogi — chwilę krytyczną... Wysłuchała z powagą i wielkiem zdziwieniem przerywanych łkaniem słów dziewczyny stara żydowica, coś jej zakołatało w piersi, niby współczucie — boć przecie tylokrotnie sama matką była — i zadecydowała, że posłać trzeba niezwłocznie po doskonałą w swoim „fachu“ starą Rabinkę która wszystkim jej dzieciom i niezliczonemu mnóstwu potomków Izraela w okolicy, ułatwiła oglądanie światła bożego. „Ale musisz jej panna Katarzyna zapłacić dziesięć reńskich z góry — bo ona drogo się ceni! — dodała rachując w duchu naprzód, że się tą dziesiątką podzieli ze starą Rabinką.

Przybyła niebawem Rabinka, — ku wieczorowi dnia tego przyszedł na świat zdrowy chłopak. W trzy dni Kasia dostała gorączki pokarmowej i groźnego zapalenia — zatrwożona stanem kobiety Rabinka pobiegła po lekarza miejskiego, żyda chirurga, a ten rozpatrzywszy się w symptomatach, po odbytej z Rabinką konferencji, zawiadomił Abramkowę w cztery oczy, że chora chyba „cudem“ ocaleje... Że się cudy w dzisiejszych czasach nie dzieją, a brak był lekarskiej sztuki i pomocy, Kasia po kilkudniowych męczarniach umarła... Przed śmiercią zawołano proboszcza, dobrodusznego i poczciwego staruszka, którego spowiedź Kasi i jej los okrutny tak przejęły, że konającej przyrzekł zaopiekować się jej dzieckiem.

Pochowano Kasię kosztem proboszcza, a kilkudniowego chłopca kazał zacny kapłan przynieść na plebanję, gdzie go ochrzcił zaraz. Dał mu imię „Jędrzej,“ bo było właśnie 30 listopada św. Jędrzeja, podług obowiązującego prawa nazwisko matki, a w księdze metryk, w odpowiedniej rubryce, wpisał sumiennie: i l l e g i t i m i t h o r i — z nieprawego łoża.

Pielęgnowanie niemowlęcia powierzył specjalnie starej Magdalenie, żonie organisty, wszechwładnej gospodyni na plebanji i ogromnej gderalskiej, która udawała zrazu, że jest bardzo niezadowoloną z krzykliwego przybysza, lecz w duszy rada mu była lubiąc dzieci, których jej niestety „pan Jezus nie dał.“ Pono nie darmo mówi ludowe przysłowie ruskie *„nad syrotoju, Boh z kałytoju“* — przynajmniej w tym wypadku w lepsze ręce nie mógł się dostać Jędruś, sierota...

* * *

Minęło lat pięć — mogiła Kasi zapadła się i zarosła burzanem, a z niemowlęcia jej

urósł szczęśliwie zamaszysty chłopak — faworyt plebana, Wojciecha organisty i organiściny. Prawda, że żywy z natury, rozpustny był niemal do zbytku, ale winną w tem była trochę przybrana matka, która pieściła malca — jak własne dziecko. Bo też hultaj ładny był, „jak pańskie dziecko“ mawiała Magdalena, i choć zbroił co, trudno było się nań gniewać, tak filuternie pokorną przybierał minkę i zaraz przepraszał — a przytem roztropnością i pojętnością nad wiek, zastanawiał wszystkich. Nawet p. Wojciech tak się powoli przywiązał do chłopaka, że raz wróciwszy w różowym humorze z jakichś chrzcin, i rozgadawszy się wbrew zwyczajowi — bo poważny był zwykle i milczący, jak tego wymagał urząd jego — ni ztąd ni zowąd zagadnął żonę:

— A wiesz kobieto, co mi dziś przyszło do głowy na tych chrzcinach?

— No cóż? podchwyciła ciekawa Magdalena.

— Ot, że markotno człeku na starość, gdy się pomyśli, że Bóg nie dał dzieci... Ludziska mają ich tam często do zbytku — że brak im nieraz kawałka chleba, aby zatkać wszystkie gęby, — a my, choć Bogu dzięki nie wiemy co bieda, ani jednego bębna nie mamy...

— A Jędruś... Wojciechu — czyż nie nasz?... oho! nie dam ci go nikomu! Zresztą, ktoby tam sie upominał o sierotę biedną.

— Ba! twój i nie twój — wyrośnie, pójdzie w świat, zwyczajnie jak obcy...,

— To weźmy go za swojego — jak Kowalowie z tą małą zrobili, poradź się ino księdza proboszcza, gdzie o to pisać. Wszak kochamy go tak, jak własne dziecko, krewniaków bliskich nie mamy, a jak wyrośnie, czej się odwdzięczy nam, i będzie podporą w starości. Ho! ho — powiadam ci stary, on wyjdzie na ludzi — dziś już taki mądry, że strach. Nuż będzie kiedy proboszczem...

— Oho! zaraz proboszczem — a nie dosyć dla niego organistą! Albo mi to źle w tym fachu, daj Panie Boże tak każdemu do śmierci.

Stanęło zatem, że przyjmą Jędrusia za swego, a proboszcz staruszek miał im być w tem u dotyczącej władzy pomocnym.

Gdy nazajutrz organista po mszy zwierzył się księdzu ze zamiaru adoptowania sieroty, i pytał o zdanie, a w końcu prosił o radę, jak się wziąć do rzeczy, staruszek ucieszony pochwalił mu tę myśl, bo sam przepadał za Jędrusiem, i przyrzekł zająć się dopełnieniem przepisanych prawem formalności.

— Dobrzeście postanowili — rzekł — bo to i zasługa przed Bogiem, przytulić taką sierotę, i dla was przyjemniej, gdy będziecie mieć koło siebie nie obce już, ale niby własne dziecko. Zresztą to widzę chłopak pojętny, rozum mu z oczu patrzy — damy go za rok, dwa lata do szkół, i...

— Będzie kiedyś organistą na moje miejsce — przerwał Wojciech — i tak już mnie nie długo służyć Bogu i ludziom, siódmy krzyżyk rozpoczęło się na dobre.

— Et! siódmy, siódmy, a cóż ja mam mówić, mój Wojciechu, starszy od ciebie znacznie... dalej zgubię rachunek z latami — odparł proboszcz żartem. — Co do Jędrusia widzisz kochanie, bez tego wybieram się temi czasami do Lwowa, to tam się poradzę znajomego adwokata, jak to zrobić najlepiej.

Nie wyjechał wówczas, jak sobie układał, bo coś zaniemógł był starowina, projekt wyjazdu do stolicy poszedł w odwłokę, a z nim oczywiście i prawna adoptacja Jędrusia. Nie przeszkadzało to jednak wcale, że Wojciechowie, a zwłaszcza ona, uważała odtąd sierotę za własnego syna, zaczęła mówić o tem głośno przed ludźmi, i niebawem całe miasteczko wiedziało, że organista przyjął „znajdę“ za swego. Jak to zwyczajnie na świecie bywa, jedni się dziwowali, inni znajdowali to zupełnie naturalnem, z uwagi, że starzy Wojciechowie, mając się dostatnio, nie mieli żadnych krewnych, a byli i tacy, którzy przebąkiwali, że prawdopodobnie organista dostał skądsić „grube pieniądze“ za to, aby sierotę przyjął za własne dziecko. Tymczasem chłopak rósł, i rzeczywiście zastanawiał każdego objawianym sprytem, pojętnością i ciekawością. Przy tem ładny był, że koniecznie ściągał na siebie uwagę ludzi. Bywało w niedzielę lub święto, gdy go Magdalena ubrała w kolorową sukienkę, utrefiła mu kędzierzawe jak len białe włosy, i z dumą matki posadziła w kościele koło siebie ślicznego chłopczynę, z białą niby jabłko-krągłą i rumianą twarzyczką, o dużych czarnych oczach i ciemnych rzęsach — a on nie mogąc przez całą sumę wysiedzieć spokojnie — stanął w ławce i po tłumie pobożnych śmiało się rozglądał — nie mogli się wszyscy dość nadziwować i napatrzyć pięknemu Jędrusiowi. Nawet pani pocztmistrzowa, która mając własnych kilkoro dzieci, jak zapewniała same — „przecudne aniołki“ — nie bardzo skorą była do pochwalenia czyjego obcego, widząc raz i drugi Jędrusia, raczyła uznać, że to wcale ładny dzieciak, ten wychowanek organisty. A potem dodała zaraz „Szkoda, że to...“ i urwała, z pewnym grymasem niechęci i pogardy w twarzy. Miała na myśli pochodzenie sieroty...

* * *

Jakoś w dwa lata po owej rozmowie z proboszczem, w przedmiocie adoptowania Jędrusia, — które mówiąc nawiasem, ciągle jeszcze było dobrą chęcią tylko, bo staruszkowi zawsze coś wlazło w drogę, gdy już tuj, tuj, był na wyjezdnem do Lwowa — pierwsza Magdalena zwróciła uwagę męża, że chłopak skończy niebawem 7 lat, i czas byłby posłać go do szkoły.

— Do książki aż go niem... — mówiła. Ledwiem mu pokazała kilka liter w mojej książce do nabożeństwa, spokoju mi nie daje, jeno ciągle męczy. bym mu więcej pokazywała. Jak mówiłam zawsze, ani chybi będzie z niego uczony człowiek.

Wojciech nagabywany w ten sposób kilka razy, poszedł oczywiście przedewszystkiem na radę do proboszcza.

— A jakże, a jakże — trzeba go zapisać do „sztuby“ — mówił staruszek wysłuchawszy z czem przyszedł organista, — sam myślałem o tem nie raz i zbierałem się, by ci to powiedzieć Wojciechu... no, ale zawsze jakoś zapomniało się... Że to trzeba chłopca trochę przebrać inaczej, i kupić mu książki, dam ci na to parę reńskich... — i posunął, wlokąc ledwie nogę za nogą — do kantorka. W ostatnich czasach starowina podupadł był zupełnie na siłach.

— Całuję nogi księdza proboszcza — całuję. Jest tam wprawdzie i u nas trochę zapaśnego grosza, ale człek nie rad to ruszać, chowając na czarną godzinę... — dziękował Wojciech, kontent z niespodziewanego zasiłku.

Jeszcze tego samego dnia przywołano z miasteczka Icka, reputowanego krawca, który szył bekiesze mieszczanom, łatał i sztukował od czasu do czasu kilkudziesięcioletnią garderobę plebana, a nawet robił raz kompletne garnitury dla „paniczów od pana respicjenta“ — gdy wyjeżdżali do gimnazjum, o czem zawsze z pewną dumą i satysfakcją wspominał ślepy na jedno oko Icek. Miał wprawdzie od niejakiego czasu rywala w kunszcie swoim, osiadłego tu niedawno młodego Moszka, który złośliwie rozpowiadał, że stary Icek „na jedno oko był ślepy, a na drugie nic nie widział“, i skutkiem tego fatalnie wypadały roboty jego; lecz mimo to Icek miał najlepszą i najliczniejszą klientelę w miasteczku, w którem się urodził, i po ojcu a nawet dziadku, rzemiosło odziedziczył.

Wziął tedy Icek miarę na bekieszkę i inne części ubrania dla Jędrusia, zabrał stary surdut Wojciecha, obiecując po przenicowaniu go „rychtyk nowy“ wystrychnąć surducik dla malca, na resztę miano kupić łokieć sukna szaraczkowego — i w ten sposób sprawa przebrania Jędrusia na studenta, była zupełnie załatwioną. Zobowiązał się

zrobić wszystko na czas t. j. początek września, a można mu było wierzyć, bo byli ledwie w lipcu.

Przypatrując się z boku długim operacjom Icka przy braniu miary na chłopca, stara Magdalena płakała czegoś po cichu. Jędruś natomiast wesół był, jak zwykle, i ani trochę nie czuł się zakłopotanym lub zdziwionym. Od tego dnia ciągle się dopytywał, kiedy Icek ubranie przyniesie, wyglądał go co dzień od rana do wieczora — i nie mógł się doczekać zawsze niedzieli, na którą „mama“ zapowiadała pojawienie się krawca, chcąc się chłopca pozbyć chwilowo. Tak mu dziwnie pilno było przedzierzgnąć się w „studenta,“ do którego to tytułu, zdaniem rówieśników, uprawniało dopiero kompletne ubranie na krój starszych mężczyzn.

Przyszła nareszcie wyczekiwana niecierpliwie niedziela, a raczej przyszedł Icek z zawiniątkiem, z którego wyjął z powagą surducik cudackiego wprawdzie kroju i formy, ale dla Jędrusia był on szczytem marzeń cichych i radości. Przebrał się chłopak w lot, z uciechy skakał po izbie, potem po dziedzińcu jak szalony. Stara Magdalenna znowu płakała, ujrzawszy pieszczocha zmienionego ubiorem. — zwyczajnie jak kobiety, które czują, że z chwilą ubrania takiego surducika dziecko jak ptaszę porosłe już w pierze, wymyka się z pod skrzydeł, i lada chwila uleci... może na zawsze, w szeroki bezbrzeżny świat... Czyż prawie każdy z nas nie pomni podobnej chwili i łez u matki w zaraniu swojego życia, które to łzy wówczas dziwnemi się zdawały może, lecz jakże często niestety usprawiedliwia je potem życie niejednego... serce matki znać odczuwało wtedy, że nie na taniec ochoczy spieszy jej małe chłopię... C. d. n.

Nowy Rok.

Starego roku już postać sędziwa
W ponure grobu zapada się cieśnie,
Niechaj staruszek pod darnią spoczywa,
I niechaj mary nie trapią go we śnie,
Że nam dobrego przysporzył tak mało,
Że nie był czerstwy, ni silny, ni zdrowy...
Staruszek kona i — dobrze się stało,
Niech kona, co stare — niech żyje rok nowy!

Niech żyje... Lecz czyli się spełnią nadzieje
Te, które w młodości człek zawsze pokłada?
Czy lice mu prawdą świetlaną rozdnieje,
Czy skroń mu uwieńczy gwiazd nowych plejada?
Cyy ciemność przed jego się wyrokiem rozprószy,
Czy pękną przesądów i fałszu okowy,
Czy szerej się zrobi dla serca i duszy,
Czy n o w y m prawdziwie, ten będzie rok nowy!

Czy będzie on chwilą wśród wieków pochodu,
Co w dziejach dokona wielkiego przełomu
Nasyci tych, którzy konają wciąż z głodu,
Przytuli tych, którym cichego brak domu!
Pocieszy tych, którzy walkami znużeni
Nie mają gdzie złożyć ciążącej im głowy?
Czy przyszłość szczęśliwa się w nim zazieleni,
Czy n o w y m prawdziwie ten będzie rok nowy?

Czy krzywdy odwieczne, występki i zbrodnie
Doznają nareszcie i pomsty i kary,
Czy ludzkość odetchnie raz przecie swobodnie
Zdeptawszy nogami na miazgę świat stary,
Świat fałszu, ciemnoty, poniżeń, obłudy,
Rozpusty i mordów i hańby wiekowej,
Czy ludźmi nareszcie raz staną się ludy,
Czy n o wy m prawdziwie, ten będzie rok nowy?

Ha! trudno przewidzieć... Spokojne lazury
Okryte w burzliwych chmur czarne łachmany —
Z zachodu i wschodu huk słychać ponury,
Zbliżają się wielkie dziejów huragany...
Ach! burza orzeźwia!.. Zawarczą pioruny,
Tak głosem potężnym, jak z łona Jehowy
I prawda wśród krwawej objawi się łuny —
I n o w y m prawdziwie się stanie rok nowy!

Bolesław Czerwieński.

Seminarjum Nikolas du Chardon-et.
Ustęp z pamiętników Ernesta Renana*)

W kwietniu roku 1838 pan de Tallayrand, przeczuwając w zamku swoim Saint-Florentin bliski swój koniec, uważał za konieczne poddać się formom towarzyskim i postanowił pogodzić się dla pozoru z kościołem, który by go był z pewnością przekonał o jego bezecnych występkach i haniebnem bluźnierstwie, gdyby był w ogóle uznał prawdy przez ten kościoł głoszone. Do wykonania tak trudnej operacji nie można było użyć ani poważnego duchownego starej szkoły gallikańskiej, któryby żądał uzasadnienia odwołania, skruchy i pokuty, ani tez młodego ultramontanina nowej szkoły, któryby w starcu z góry już był wzbudził wstręt i odrazę. Trzeba było raczej kapłana, któryby był zarazem człowiekiem światowym, literacko wykształconym, jak najmniej filozofem, a wcale nie teologiem. Oprócz tego musiał by on pozostawać z dawną szlachtą w stosunkach towarzyskich, bez których Ewangelia rzadko tylko znajduje przystęp do tych kół, dla których stworzoną nie została. Abbé Dupanloup był właśnie człowiekiem, jakiego szukano. Bezwiednie też brał on udział w tej sprawie już naprzód ułożonej, którą łatwowierni mieli uważać za budujące oświecenie z niebios. Stosunek jego do księżniczki Dino, a bardziej jeszcze do córki tejże, której wychowaniem religijnem kierował, zupełna zgoda jego z zapatrywaniami pana de Quélen, protekcja arystokracji, którą uzyskać potrafił zaraz z początku swojej karjery i która zdziałała, że mieszkańcy Faubourg St. Germain uważali go za równego sobie wszystko to pozwalało uważać go za zdolnego do wykonania dzieła, które wymagało więcej taktu salonowego niż teologji, i dla którego trzeba było umieć podejść zarazem ziemię i niebo.

Mówią, że pan de Talleyrand, spostrzegając ze zdziwieniem pewne wątpliwości pana Dupanloup, w pierwszej chwili zawołał: „Młody ten ksiądz nie zna się na swojem rzemiośle!“ Jeżeli to powiedział, to się mocno mylił. Młody ksiądz rozumiał sztukę swoją, jak nikt dotąd. Postanowiwszy dopiero wtedy jednem rozstrzygającem słowem zadać kłam całej przeszłości swojej, kiedy już tylko jedna godzina do życia mu zostanie, odpowiadał starzec uporczywie na wszelkie nalegania i prośby: „Jeszcze nie!“ Z nadzwyczajną zręcznością trzeba było postępować według znanego: Sto ad ostium et pulso. Omdlenie lub nagłe przyspieszenie zgonu mogło zniszczyć wszystko. Natrętne naleganie mogło spowodować sprzeciwienie się i tem samem zaniechanie sprawy tak zręcznie i przebiegle obmyślonej. Dn. 17 maja, w dzień śmierci starego grzesznika, z rana nic jeszcze nie było podpisanem. Wszyscy byli ogromnie rozdrażnieni... Czas naglił; postanowiono odważyć się na wszystko. Pan Dupanloup znajdował się tuż obok pokoju, w którym leżał chory. Posłano tedy do łoża starca owo cudne dziecko, które on zawsze przyjmował z uśmiechem. I, o cudzie. Odpowiedź brzmiała: tak! Teraz wszedł kapłan. Cała sprawa trwała tylko kilka minut. Młody katecheta, wychodząc z pokoju, niósł w ręku papier, na którym konający podpisał się szumnie całem swojem nazwiskiem: Charles Périgord, Maurice de Talleyrand książę Benvenuto.

I wielką była radość, jeżeli nie w niebie, to przynajmniej w katolickich kołach Faubourg St. Germain. Oczywiście, że zwycięstwo zawdzięczano przedewszystkiem wdziękom kobiety, która pieszczotą swoją nakłoniła starca do odwołania całej jego rewolucyjnej przeszłości, ale wychwalano też młodego kapłana, który bądź co bądź, z wielką zręcznością wywiązał się z zadania, mogącego bardzo łatwo się nie udać. Od tego dnia był pan Dupanloup jednym z pierwszych kapłanów Francji. Koła najbogatsze i najbardziej wpływowe ofiarowały mu wszystko, co tylko mógł sobie życzyć: uzędy, godności, znaczenie towarzyskie, pie-

*) Jestto rozdział z ogłoszonych swieżo w „Revue de deux Mondes“ pamiętników znakomitego filozofa pt. „Souvenirs d'enfance et de jeunesse“; wybraliśmy ten rozdział umyślnie ponieważ on najlepiej charakteryzuje opinie Renana, a będzie więcej jak inne zajmować czytelników, bo rzecz chodzi tu o znanego szezerszym kołom ks. Dupanloup.

nądze. Wybierał ostatnie. Ale niechaj nikt go nie posądzi o chęć osobistych korzyści... Plan wielkiej propagandy nauk klasycznych i religijnych opanował duch jego, i temu to planowi chciał się teraz poświęcić z namiętną gorliwością, która ożywiała wszystkie jego przedsięwzięcia.

Seminarjum St. Nicolas du Chardonnet, położone obok kościoła tegoż nazwiska, służyło od czasu rewolucji za małe seminarjum dyecezji paryskiej... Zakład ten do roku 1837 nie posiadał wcale tego blasku, który go później odznaczał. Literacko wykształcony i światowy klerykalizm świetnie odrodził się dopiero między rokiem 183 a 1840. Przez pierwsze trzy dziesiątki naszego stulecia pozostał Nicolas nieznanym zakładem duchownym, do którego przyjmowano tylko takich wychowanków, którzy poświęcali się kapłaństwu, a w którym część świecka nauk była zupełnie zaniedbana! Pomysł arcybiskupa paryskiego, pana de Quélen, aby kierownictwo tego zakładu powierzyć panu Dupanloup, był iście genialnym. Arystokratyczny ten kapłan nie mógł znaleść upodobania w czysto duchownym kierunku, który dotychczas nadawano wychowaniu w seminarjum. Lubiał on pobożność, ale pobożność światową, salonowę, bez scholastycznego barbarzyństwa lub mistycznej gadaniny, lubiał pobożność jako uzupełnienie arystokratycznegz ideału. Dla pana Dupanloup żywił najgorętszą sympatję. Ten ostatni był wówczas legitymistą i ultramontaninem... Pan de Quélen widział w nim syna, który podzielał wszystkie jego przesądy, który pogardzał wszystkiem, czego on nie szanował. Znał też niewątpliwie tajemnicę jego urodzenia. Rodziny, które po ojcowsku zajmowały się wychowaniem młodego duchownego i dały mu wstęp do swoich kół dla wielu zamkniętych, były i dla pana de Quélen granicami świata. Widziałem wtedy pana de Quélen, zrobił na mnie wrażenie typowego biskupa z owych czasów, Przypominam sobie jeszcze jego piękność niewieścią, jego wzrost imponujący, i wdzięczne ruchy. Wykształcenie ducha jego było czysto światowem i salonowem. Religia była dla niego nierozłączną od dobrego ułożenia i od pewnej dozy zdrowego rozumu, który czerpiemy z studjów klasycznych. To samo da się powiedzieć o panu Dupanloup.. Humanizm, wykształcenie powierzchowne ale wszechstronne, dla obu były celem dostatecznym, poklask wykształconego salonowca najwyższem kryterjum dobrego... Teologję uwielbiali obydwaj z daleka... Wiara ich była gorącą i szczerą, lecz ślepą, nie wiele troszcząc się o dogmaty, w które wierzyć trzeba było.

Tego tedy usposobienia był pan de Quélen. kiedy oddał w ręce pana Dupanloup nieznany i karnie prowadzony zakład. Według brzmienia konkordatu, było małe seminarjum paryskie dotychczas tylko szkołą wychowawczą dla przyszłych księży paryskich... Nowy zwierzchnik myślał o czemś zupełnie innem. Zdawało mu się, że wszystko potrzebuje reform i odnowienia, począwszy od budynku, z którego młot pozostawił tylko gołe mury, a skończywszy na planie nauk, który pan Dupanloup gruntownie zreformował. Zamiary jego objawiały się głównie w dwóch punktach. Po pierwsze przyszedł do przekonania, że seminarjum czysto duchowne nie ma w Paryżu żadnych widoków powodzenia i zamierzał dla tego pozyskać dla zakładu, głównie z zachodniej Francji i z ojczyzny swojej, Sabaudji, utalentowanych wychowanków, na których zwrócono jego uwagę. Po drugie, chciał stworzyć z zakładu wzorowy instytut wychowawczy, a nie seminarjum z charakterem duchownym i ascetycznym. Dlatego też starał się u najpierwszych rodzin Francji o oddanie mu ich synów do wychowania. Przez szczęśliwe załatwienie sprawy na ulicy St. Florentin, wszedł był w modę u legitymistów; pewne stosunki z kołami orleanistycznemi kazały się i ztąd spodziewać pomnożenia liczby wychowanków. Nie lekceważąc zmiennych kaprysów mody i popularności, starał się o względy wszystkich, którzy chwilowo mieli znaczenie. Zasady jego były na wskróś arystokratyczne, rozróżniał jednak trzy rodzaje arystokracji: szlachtę, kler i literaturę. Myślał o liberalnej metodzie wychowawczej, opartej na chrześcijańswie i klasycyzmie, równie dobrej dla duchownych jak dla młodzieży z Faubourg St. Germain. Studjum umiejętności było prawie wykluczonem, o niem i on nie miał pojęcia.

Tak stał się stary zakład przy ulicy St. Victor domem, w którym przez kilka lat najwięcej wymieniano nazwisk historycznych i znanych; przyjęcie do niego było dla młodego człowieka łaską, za którą płacono skarbami. Wielkich sum, któremi sobie bogate rodziny tę łaskę okupiły, użyto do bezpłatnego wychowania niezamożnych młodych ludzi, którzy nadzwyczajnym postępem w szkole zwrócili uwagę na siebie. I w tem widać tę głęboką wiarę, jaką pan Dupanloup żywił dla studjów klasycznych. Był przekonany, że kto miał zostać duchownym, musiał w taki sam sposób być wychowanym, jak ten, którego przeznaczeniem było zająć kiedyś najwyższe w społeczeństwie stanowisko. Wirgiliusz zdawał mu się być dla duchowego wykształcenia kapłana co najmniej tak koniecznym, jak biblia. Spodziewał się dalej, że elita klerykalnej młodzieży, przez obcowanie z synami najlepszych rodzin Francji, nabędzie salonowej ogłady i wykwintniejszych manier, niż w innych seminarjach, zaludnionych wyłącznie przez synów ubogich włościan. I rzeczywiście, pod tym względem dokonał cudów. Chociaż utworzony z przeciwności, na pozór nieprzejednanych, był zakład zupełnie jednolitym. Przeświadczenie, że talent miał większe znaczenie niż wszystko inne, usuwało wszelką niezgodę, a po ośmiu dniach choćby najuboższy i najniezręczniejszy chłopak, jeźli tylko napisał dobre pensum lub skleił pięknie kilka wierszy łacińskich, był przedmiotem zazdrości małego milionera, który nie przeczuwał nawet, że za tamtego czesne zapłacił. (Dok. nast.)

Lichtarz loteryjny.

Humoreska
Otta Buchwalda.

Od lat trzydziestu jesteśmy zaślubieni, i mamy jedną córkę. W jakim ona wieku, niewiem dokładnie, zdaje mi się jednak, iż jak nasz stary zegar, stanęła na pewnej oznaczonej liczbie. Atoli żona moja mówi, że panna ma jeszcze widoki dostać męża, co mnie uspokaja. Córka nasza nazywa się poetycznem imieniem: Esmeralda, na cześć bogatej babuni ciotecznej, która „Dzwonnika z Notre Dame“ co roku dwa razy czytywała, a po śmierci naszej Esmeraldzie nie zostawiła ani grosza.

Pewnej niedzieli siedziałem w moim gabinecie i czytałem Liwiusza, gdy w tem weszła Esmeralda lekkim krokiem, jak przystoi dziewczynie, która ma widoki zamąż—pójścia.

— „Ojcze! zagadnęła — „Stowarzyszenie Hymenu“ urządza loterję fantową, której zyskiem ma być wyposażona para narzeczonych, czekających na siebie 10 lat, a środki obojga są dotąd bardzo szczupłe. Może i ty ojcze przyczynisz się czemkolwiek?— Pochwaliłem zupełnie zajęcie się mej córki narzeczonymi, którzy chcą się pobrać i chętnie dobyłem sakiewkę.

— Nie — rzekła Esmeralda — wolisz dać ojcze fant jaki. —

— Zgoda, lecz co? spytałałem wodząc wzrokiem bezradnie po pokoju — niewiem coby dać...

— Ja wiem! przerwała tryumfująco — lichtarz z nowego srebra.

— Kochane dziecię — odparłem, lichtarz ten mam już przeszło lat trzydzieści.

Pochodzi on jeszcze z kawalerskich czasów, i jest jedynym przedmiotem, który raz w życiu wygrałem na loterji.

— Z tem wszystkiem jednak jest zupełnie nieużytecznym, odparła mi córka bez namysłu— i chyba nie ma innego celu istnienia, jak był odczyszczany co miesiąc. — Co do nieużyteczności miała słuszność. Lichtarz ten, pomimo swego wieku i widocznego starcia skutkiem ciągłego czyszczenia, wyglądał okazale, lecz otwór miał za płytki a takich rozmiarów, iż najgrubsza świeca kościelna przestraszyła by się tego okręgu. Raz zwyczajną świeczkę obwinąłem całym numerem niedzielnym „Ciotki Voss" i wsadziłem w otwór: lecz świeca natychmiast wypadła na podłogę rozmiażdżona, jak kość pacierzowa jaszczurki, rozebranej anatomicznie.

— Kochane dziecię — zacząłem znowu, — tego — hm — nieużytecznego czyli mało potrzebnego lichtarza nie...

— Właśnie dla tego najstosowniejszym jest na loterję fantową, wtrąciła Esmeralda szybko. — Często gniewałeś się na lichtarz, ja także, gdyż go czyścić musiałam. Teraz sposobność doskonała, by się go pozbyć! — I już wzięła lichtarz do ręki.

— Jeszcze musisz wziąć ojcze kilka losów po 50 ct. weź — trzy!

Wiedziałem, że córce zależało na tem, by jak najwięcej losów rozsprzedać, zrobiłem więc zadość jej życzeniom w pewnej nadziei, iż więcej nigdy przez resztę mego żywota nie będę w podobnem położeniu.

Upłynęło blisko 14 dni — gdy raz Esmeralda rzekła przy stole:

— Dziś jest losowanie, „Hymenu", ciekawam co też wygrasz ojcze!

Przy tych słowach straciłem apetyt. Nie przerażałem się myślą, iż wygrać coś mogę, ponieważ byłem przekonany, że los mój nie wyjdzie wcale. Ale od czternastu dni myślałem o pozbyciu lichtarza z nowego srebra, jak o ciężkiem przewinieniu.— Jeżeli ktoś z twych znajomych wygra go, który sto razy lichtarz widział u ciebie, nie będziesz mógł bez bicia serca progu domu twego przekroczyć! Ta uwaga dręczyła mnie bez ustanku; nawet we śnie ukazywała mi się mara w postaci fatalnego lichtarza. Raz powiększył mi się do rozmiarów szubienicznego pala, do którego byłem przywiązany. Innego znów razu — gdy wykładałem w klasie różnicę pomiędzy doryckiemi, jońskiemi i korynckiemi słupami we śnie przemienił się lichtarz to w jeden to w drugi słup, a zawsze u każdego był obszerny, płytki otwór u góry, iż ze strachem myślałom o losie świecy, która tam się dostanie.

Więc też na wiadomość o ciągnieniu, mdło zrobiło mi się na sercu.

— Nie wygrywam nigdy... nic rzekłem półgłosem.

— Może tym razem będziesz szczęśliwszym — pocieszały mnie żona i córka.

Niewinne dusze nie przeczuwały, że mnie nawet wygrana nie ucieszy, jak długo nie będę wiedział, komu na łono fortuna rzuci mój lichtarz.

Jak oskarżony, nad którego losem przysięgli się naradzają — spędziłem popołudnie. Towarzyszki spoglądały na mnie z współczuciem, myślały żem chory — co było prawdą. Kawa ani cygaro nie smakowały mi.

— Kiedyż skończy się ta historja? spytałem żony z wymuszoną miną.

— Sądzę, iż o szóstej Esmeralda powróci, odparłażona, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Choroba nie dawała się już ukryć.

Wreszcie przyszła Esmeralda — ale nie wesoła i fertyczna, jak przystoi dziewczynie, która ma jeszcze widoki matrymonialne — lecz pomięszana i nieśmiała.

— Wygrałeś ojcze... rzekła bojaźliwie.

— Któż wygrał mój lichtarz? zawołałem, nie będąc w stanie ukryć niecierpliwości.

— Ty ojcze!

— Bogu dzięki! zawołałem oddychając z pewną ulgą, i pospieszyłem z lichtarzem do mego gabinetu.

Żona i córka zaśmiały się głośno sądząc, iż zachwytem tym wyrażałem żartobliwie złość swoją: nie przeczuwały zupełnie, ile w tem było prawdziwej radości. Stanął więc mój nieużyteczny lichtarz znowu na swojem miejscu — i mogę powiedzieć, iż nigdy dotąd nie był mi tak miłym jak teraz, gdy z wiernością psa wrócił do mnie napowrót. Znowu co miesiąc czyszczono go starannie— a jego olbrzymi otwór służył młodym muchom za szkołę gimnastyczną.

Pewnego dnia znikł lichtarz; myślałem w pierwszej chwili, że jak zwykle wzięto go do czyszczenia, i nie pytałem o nic. Gdy jednak po kilku dniach nie było go na zwykłem miejscu, wziąłem Esmeraldę na egzamin. Ach! co też usłyszałem! okropność! Żona i Esmeralda sądziły na serjo, iż wygrany napowrót lichtarz gniewa mnie srodze. Z tego powodu Esmerelda, nieszczęśliwe dziecię, nie miała nic pilniejszego, jak oddać go na nową loterję, którą jakieś stowarzyszenie na jakiś piękny cel urządziło.

Spojrzenie, którem obrzuciłem ją po tem wyznaniu, może w grozie swej mierzyć się tylko z tem, jakiem mój zmarły kolega Seyfried zmierzył był trzecioklasistę, gdy ten odpisał łacińskie ćwiczenie współucznia. Esmeralda zbladła i nie wyglądała wcale, jak dziewczyna, która ma widoki pójść za mąż.

— Ojcze — wyjąkała— sądziłam w istocie, iż będziesz kontent, pozbywszy się lichtarza; wszak najzupełniej był niepotrzebnym.

Właśnie ten sprawiedliwy powód oburzał mnie.

— Tem gorzej!... bezsumiennie jest, nieużyteczny lichtarz pchać w rękę niewinnym ludziom, którzy kupili los za 50 cnt.

Mówiłem to z gniewem, a Esmeralda wyglądała jak widmo w księżycowym blasku. Wzruszony jej widokiem rzekłem łagodniej:

— Wiele losów masz jeszcze do rozsprzedania?

Znałem zwyczaj podwójnego opodatkowania; najpierw daje się fanty, potem bierze się losy a w końcu...

— Dziesięć — przerwała Esmeralda ciąg dalszy mych myśli.

— Daj je tu — rzekłem — rozsprzedam je między kolegami.

Był to jedynie wykręt do pokrycia rozrzutności mojej. W istocie miałem stanowczy zamiar,— lichtarz mój napowrót odzyskać, i nie zadowoliłem się nawet temi dziesięcioma losami, ale bez wiedzy żony i córki z innego źródła wziąłem jeszcze pięć.

Uzbrojony piętnastoma losami, oczekiwałem ważnego dnia z spokojem; w myślach już widziałem lichtarz stojący na dawnem miejscu.

Nadszedł dzień losowania. Esmeralda, która nie tylko narzeczonymi od 10 lat interesowała się gorliwie — miała znowu dużo do czynienia, i późno przyszła do domu. Przy kolacji rzekła:

— Ojcze! znowu jak zwykle nie miałeś szczęścia — z dziesięciu losów jeden tylko wygrał!

— Oczywiście nie lichtarz! odparłem ile możności zimno, by ukryć rozczarowanie — uważam to z twoich słów,..

— Nie — parę podbródków — rzekła Esmeralda prawie smutno; zdawała się odczuwać wyrzuty sumienia, iż nie wygrałem lichtarza.

W tej chwili nie pomyślałem wcale, że te podbródki mogą być użyte kiedyś—ewentualnie przy wybuchu nowej loteryjnej epidemii — zajmowałem się tylko przypuszczeniem, że jeszcze inne pięć losów lichtarz wygrać mogą. Trzy dni rozważałem możliwości i niepodobieństwa — w końcu rzecz została rozstrzygniętą — żaden los nic nie wygrał— lichtarz mój poszedł w obce ręce pod krytyką ludzką. Biedny lichtarz, o! gdybym przynajmniej wiedział o jego losie!

Życzenie to spełniło się niebawem. Pewna dama z kolącemi oczyma i wąskiemi wargami,— której humor dobry zmniejszał się z latami, przyszła pewnego dnia do żony na kawę. Stół kawowy podobny jest do miejsca, gdzie wyładowują zamorskie towary

— jest ich zwykle przerażająca ilość. Starzejąca się jejmość nie próżnowała: pakę za paką pełną nowości wytaczała na widok, naraz zamaciło mi się w głowie — gdy usłyszałem przez otwarte drzwi w moim pokoju coś o starym z nowego srebra lichtarzu, który na ostatniej loterji, na cel dobroczynny urządzonej, wygrała. Ciekawie przystąpiłem bliżej, ponieważ zdawało mi się niemożebnem, iżby taki drugi lichtarz egzystował, więc o moim lichtarzu musi być mowa. Tak jest! o moim lichtarzu! O! a opisanie tegoż — opisanie! Szkaradniejszego lichtarza od stworzenia świata żadna służąca nie czyściła. Jego szanowny wiek—piękny kształt — skromne wyglądanie wszystko pominięto, a wady z upodobaniem powiększono. Zdaje się, jak gdyby wszystkich fabrykantów świec chciał zbogacić, tyle świec z niego wypadło i połamało się; otwór jego równał się kotlinie, gdzie harcować mogły swobodnie stada bawołów.

Miałem dość tego, więc jak wypoliczkowany żak szkolny zamknąłem drzwi, tłumiąc gniew mną miotający.

Gdy szanowna dama ładunek swój wyrzuciła, i pożeglowała dalej — poszedłem do żony i córki.

— Widzicie — rzekłem — co mam z tej przeklętej loterji, a może zechcecie zaprzeczyć, że to nie o moim lichtarzu była mowa?

Żona i Esmeralda milczały w poczuciu własnej winy. W końcu żona rzekła:

— Sądzę, że kochana nasza przyjaciółka z chęcią odstąpiła by ci lichtarz...

— Tak? zawołałem, aby w ten sposób kochana nasza przyjaciółka domyśliła się łatwo, że to ja to straszyzydło dałem na loterję, i żeby swój list gończy przy innych kawowych stolikach nazwiskiem mojem uzupełniła! No, tego jeszcze brakowało!

Esmeralda lepszą dała radę.

— Ojcze! mówiła — założę się, iż w następnej loterji lichtarz pojawi się na stole, wtedy będziesz mógł...

— Znowu piętnaście losów wziąć — zawołałem nieostrożnie, – aby wygrać parę podbródków, które ty później może...

Przy tych słowach córka moja uważała, za stosowne zarumienić się, jak przystoi dziewczynie, mającej widoki zamążpójścia. Nie rzekłem już nic więcej, i wróciłem zły do swego gabinetu. Nawet familijnych nieporozumień był przyczyną ten nieszczęśliwy lichtarz!

Minęło kilka tygodni, gdy raz na przechadzce rzekł stary poborca do mnie:

— Doktorze, dziś jest loterja „pończoszkowego stowarzyszenia dla Hotentotów“ Chodź pan, oglądniemy zbiór fantów — jestem przymusowym członkiem komitetu, więc muszę być obecnym.

Od razu wyjaśnił mi się powód nadzwyczajnego zajęcia Esmeraldy w ostatnich czasach. Z losami jednak nie odważyła się przyjść do mnie.

Jakkolwiek złość moja przeciw każdej loterji fantowej po lichtarzowej aferze, była usprawiedliwioną, nie mogłem staremu przyjacielowi odmownej dać odpowiedzi, zwłaszcza, iż mówiąc otwarcie byłem ciekawy zobaczyć, czy przepowiednia Esmeraldy co do lichtarza sprawdzi się teraz. Weszliśmydo dużej rzęsiście oświetlonej sali, w której członkowie komitetu nie mało zabierali miejsca. Osób pragnących wygrać coś z prześlicznych rzeczy, było bardzo dużo. Za kwadrans miało odbyć się losowanie. Esmeralda oczywiście krzątała się żwawo, i tyle miała ciągle do czynienia, że mnie nie zauważyła wcale.

— Patrz pan! rzekł do mnie poborca podatkowy z złośliwym uśmiechem, prowadząc mnie do stołu założonego fantami — oto zbiór, niepokupnych towarów — dary ze sklepu. Wazy, kałamarze, postumenciki, które choć wyglądają zupełnie dobrze, są nie modne i nie mają odbytu. Jeśli zobaczysz pan starego znajomego z wystawowego okna, proszę się nie dziwić. A tu — ciągnął dalej zatrzymując się przy innym stole — spoczywa owoc pracy naszych panienek i niezamężnych kobiet średniego wieku.

Ujrzałem cały magazyn bielizny rozłożony w porządku: kołnierzyki, szaliki, fartuszki, podbródki i inne pożyteczne przedmioty kończące się na „ki“:

— Mój Boże! pomyślałem — gdyby nawet miasto nasze pięć razy zostało powiększonem, jeszczeby wszystkie dzieci do 3 lat w podbróoki, szaliki, kołnierzyki, fartuszki i t. p. były zaopatrzone.

Jakże byłem zadowolony, iż wygrane podbródki zachowałem dla Esmeraldy.

— Tu — objaśniał szanowny poborca śmiejąc się skrycie – jest najciekawszy stół! Nazywam go „stowarzyszeniem wędrujących starców“. — Oglądnąłem stół dokładnie. Leżały tu premie stalorytowe niewątpliwego wieku, mapy podejrzanej młodości, albumy pewnie nie nowe, i inne rzeczy — bezsprzecznie stare.

— Widzisz pan — zauważał poborca podatkowy — to są stali goście każdej loterji — pewien rodzaj marek do grania. Każdy z biegiem czasu coś z tych rupieci wygrywa, i znowu bez wyrzutów sumienia daje na cel dobroczynny. Tym sposobem przechodzą one szybko z ręki do ręki; kaprys losu rozrzuca je po świecie, ale tu schodzą się zawsze, jak starzy hotelowi towarzysze po wojażu z niezawodną pewnością. Stół ten po 50ciu latach tak samo wyglądać będzie, jak dziś...

Ostatnie słowa wymówił z pewnem namaszczeniem.

— I on tu jest znowu panie radco — rzekł sługa stowarzyszenia, zaśmiawszy się w głos z rażącą poufałością.

Niemiłem przeczuciem tknięty, spojrzałem w kąt stołu, gdzie wskazywał palcem O! chciałbym był w tej chwili na szczycie Chimborassu siedzieć jak sowa — lub pod kaskadę Niagary, jak rak pełzać po piasku. Tam w kącie stał mój lichtarz — długoletni mój przyjaciel z nowego srebra w gronie starych towarzyszy podróży — naznaczony numerem 111. Numer ten tak wpadał w oczy, iż nikt go nie zapomni.

Nie wiem co byłbym jeszcze pomyślał w tej krytycznej chwili, gdyby donośny głos nie zawołał wyraźnie: Los 224 wygrał numer 111.

— Ja! — dał się słyszeć zadowolony głosik, i mała dziewczynka wystąpiła z słodkim uśmiechem. Lecz ach! jakże długą i płaczliwą zrobiła się jej twarzyczka, gdy ujrzała nieszczęśliwy lichtarz.

W tem dobra myśl przyszła mi do głowy — nie słuchałem dalej wywoływanych numerów, pospieszyłem do biednej dziewczynki.

— Twój lichtarz podoba mi się moje dziecko — rzekłem porywczo — czy nie odstąpiłabyś mi go za talara?

Dziewczynka spojrzała na mnie niedowierzająco — zapewne wzięła mnie za oszusta lub szaleńca; potem jednak szybko chwyciła z rąk mych talara, wcisnęła mi los swój, i znikła tak spiesznie, jakby obawiała się, bym nie cofnął propozycji.

Potrząsając głową, podał mi sługa stowarzyszenia wygrany lichtarz. Jak chłopiec, który zgubiony na ulicy cukierek bojaźliwem spojrzeniem podnosi prędko, i chowa, by w domu go spożyć — schowałem lichtarz do kieszeni i z pospiechem opuściłem salę.

Gdy w kilka godzin Esmeralda znużona całodziennym trudem przyszła do domu, rzekłem:

— No! lichtarz jest znowu tu... lecz między starych wędrowców nie pójdzie on już nigdy więcej — pamiętaj to sobie moja córko. Losy na loterję będę kupować w przyszłości, ale fantu żadnego nie dam... za nic w świecie!

Uroczystość niedźwiedzia.

Szkic etnograficzny.

Cześć oddawana zwierzętom, od bardzo dawnych czasów panuje wśród licznych narodów. W tym względzie Egiptowi, jak wiadomo, pierwsze należy się miejsce. Krokodyle, ibisy, koty, apis, żuk święty i t. p. których wizerunki i mumje po nasze dochowały się czasy, świadczą wymownie o rozległym kulcie tych zwierząt u starożytnych Egipcjan. Gwinejczyk obchodzi krwawe święto rekina, poświęcając dziesiecioletnie dziecię na ofiarę potworowi, a pociesza się przytem przynajmniej tą nadzieją, że paszcza rekina będzie jego niemowlęciu furtą do nieba.

W sobie zamknięty Hindus czci strasznego gawiala, podczas gdy u sąsiadów Chińczyków żóraw żyje w wielkiem poważaniu, tak iż wymawiając jego nazwisko, Chińczyk dodaje ze czcią „miłościwy żóraw“. Różne pobudki skłoniły w dziecięcej prostocie ducha żyjącego człowieka do ubrania jednego lub drugiego zwierzęcia, jako celu swych pobożnych westchnień — to obawa przed straszliwą paszczą potwora, to pożytek, jaki pewne zwierzę przynosi, to jawienie się jego w czasie przyjaznych człowiekowi zjawisk, lub w końcu inne, błahe częstokroć powody, wystarczyły niejednokrotnie do zrodzenia kultu jakiegoś zwierzęcia. Tak powstał kult niedźwiedzia. Nietyle bojaźń przed potężnymi kłami, ile raczej jego skóra, tłuszcz, i mięso, zjednały mu miejsce między świętymi A i n o s ó w.

Na jednej z wysp japońskich, J e s s o, żyje dość plugawy i biedny naród, A i n o s ó w, którego zwyczaje i obyczaje, stosunki topograficzne, i w ogóle przyrodę kraju — opisuje v. Siebold, sekretarz legacji niemieckiej w Japonii, a streszczenie powyższego studjum podaje w „Wędrowcu“ z 1882. dr. Dudrewicz. Znajdujemy tu jednak tylko wzmiankę o tej ciekawej uroczystości, na którą A i n o s, chcący uczcić bóstwo i zabawić się zarazem, czeka z upragnieniem.

„Kimui-Kamui“, tem budzącem szacunek, a bóstwo oznaczającem mianem, zowie A i n o s kudłatego bartka, dla którego ma wielką część i poszanowanie. I nic dziwnego — jakże tu nie szanować tej wybornej szuby, nie cenić wysoko tych tłustych szynek i w lecznictwie Ainosów wielką rolę grającej żółci, — a z drugiej znów strony potrzeba trzymać na wodzy zachcianki mysia, wdzierającego się do obór, i niszczącego konie, te ważne dla A i n o s a zwierzęta domowe. Łatwo więc zrozumieć, iż dziecięca wyobraźnia A i n o s ó w, widzi w niedźwiedziu boskiego przedstawiciela, którego jak chętnie zabija, tak chętniej jeszcze oczyszcza się z wrzekomego grzechu, umieszczając czaszkę zabitego niedźwiedzia na boski częstokół, otaczający od strony wschodniej domostwo. Tu właśnie miejsce ofiary bogom przynoszonej, a zatknięta czaszka przedmiotem świętym, który pod nazwiskiem K a m u i - m a r a p t o przedstawia bóstwo. Lecz każde bóstwo żądne czci i ofiar ludu, a ten chętnie czci i ofiaruje, i urządza na jego cześć wielkie według świętego pojęcia uroczystości. I oto motywa uroczystości niedźwiedziej, zwanej u A i n o s ó w „iomate“, którą dr. Scheube jako świadek naoczny i wytrawny znawca ziemi A i n o s ó w opisuje.

Było to w roku 1880 dnia 10. lipca, — mówi dr Scheube, — kiedyśmy z Oshamambe przybyli do niedalekiej wioski Kunnui. Wioska cała była w bardzo świątecznym nastroju, nazajutrz bowiem miała się rozpocząć uroczystość niedźwiedzia. Mały sysaczek złowiony w zimie w pobliskim lesie, miał paść ofiarą bóstwa za wszystkie pobite przez A i n o s ó w jego pobratymce. Z początku mamczyła go A i n o s k a jak własne dziecię, później podawano mu pokarm przeważnie z ryb złożony, a kiedy myś takiej nabrał siły, że klatka, w której siedzi zamknięty, trzeszczy pod jego razami, to pora do odprawienia uroczystości „iomate“, przypadającej najczęściej na wrzesień lub październik. Poprzód tłumaczą się A i n o s i przed bóstwem, iż utrzymywali niedźwiedzia tak długo jak tylko mogli, dziś muszą go zabić, nie mając go czem wyżywić. Gospodarz, któremu przypadło w udziale być inicjatorem całej uroczystości, połączonej, jak na takich chudopachołków, z wielkimi kosztami, szczególnie na napitek „sake“, wyszedł ubrany w świąteczne szaty wraz z gośćmi naprzeciw nam, zapraszając uprzejmie na uroczystość. Szaty jakie A i n o s i w uroczystych dniach przywdziewają, są to przeważnie stare suknie japońskie, noszące ledwie ślady dawniejszej świetności, a obecnie, upstrzone plamami i brudem na nich spoczywającym. Dodajmy do tego, iż dla A i n o s a jest rzeczą podrzędną, czyli suknia służyła niegdyś kobiecie czy mężczyźnie, a będziemy mieli dziwaczny obraz, jaki się przedstawił oczom dr. Scheuba. Lecz same suknie nie stanowią jeszcze całej toalety. Mężczyźni nałożyli na czoło rodzaj korony uwitej z korony dzikiego wisza, ozdobionej wiórami, kłami niedźwiedziemi, i rzeźbionymi kawałkami drzewa. Płeć piękna, (w której gronie nie ujrzy ładnej twarzyczki) prócz pstrej sukni, nawieszała od święta mnóstwo naszyjników z muszelek, a nawet jedna z uczestniczek miała na głowie chustkę, którą nakrywała siwe już włosy. Utatuowanie twarzy i rąk po same ramiona, dopełniało resztę toalety.

Tak ustrojone towarzystwo czekało na obszernem podwórzu, a wszystkich oczy i rozmowy były zwrócone na głównego bohatera dnia, biednego niedźwiedzia, który snać nie przeczuwając niczego, bawił się w najlepsze w swej klatce. Uroczystość rozpoczęła się w chacie. Dziś wyglądała ona nieco czyściej jak zwykle, chociaż woń tu panująca zbyt razi powonienie Europejczyka, a czarne okopcone ściany i powała bynajmniej nie dodawały powabu. Natomiast wyszły na jaw odświętne sprzęty i ozdoby: stare zardzewiałe miecze zawisły na północnej ścianie nad skrzynią, w której były w dnie powszednie ukryte. W kącie południowo-wschodnim, poświęconym bogu domowemu, umieszczono różnej długości drążki, opatrzone na końcach drobnymi wiórkami. Drążek taki zwany „inabo“ to sprzęt święty, zastępca bóstwa i znajdować się musi w każdej chacie, a nawet dziś dla podniesienia uroczystości chwili, zatknięto w każdym rogu klatki niedźwiedziej po jednym „inabo“; podobnież sterczał „inabo“ w samym środku izby, gdzie zwykle rozniecają ognisko. Dokoła rozścielono maty, i całe towarzystwo starszych i znakomitszych gości zajęło swe miejsca, czekając rozpoczęcia ofiary. Gospodarz ofiarował najpierwej nad ogniskiem bogu ognia, a w kącie świętym bogu domowemu, za przykładem zaś gospodarza ofiarowało bogom całe towarzystwo. Ofiara ta odbywa się według pewnych przepisów. Gospodarz ujmuje puhar lewą ręką i podnosi do czoła, wznosząc jednocześnie rękę prawą dłonią do góry zwróconą; następnie wziąwszy do 30 ctm. długi, płasko wystrugany, częstokroć rzeźbiony pręcik, który dotychczas leżał na puharze, zanurza go w trunek i pryska kilka kropli na ofiarę bogu, a poruszając kilkakrotnie pręcikiem nad puharem, mruczy krótką modlitewkę, podnosi wąsy pręcikiem i pije potężnymi haustami. Podczas tych libacyj odbywają się pozdrowienia, przyczem A i n o s pochylając kilkakrotnie głową, gładzi brodę lub włosy na przodzie głowy, prawiąc przytem rozmaite komplementa.

Gospodyni domu, która wykarmiła niedźwiedzia, siedzi na boku w ciągu całej ceremonji, wybuchając od czasu do czasu wcale nieudanym płaczem, i roniąc łzy nad losem swego wychowanka. W końcu i ona łącznie z kilkoma starszemi niewiastami ofiarowała bogom, pocierając przed wypiciem, bo tak obyczaj niewieści każe, kilkakrotnie palcem wskazującym pod nosem. Córki gospodarstwa dość czysto ubrane, nie biorąc podobnie jak inne dziewice udziału w libacji, nieodstępowały kociołka, w którym przygotowywały z jagieł przysmaki dla gości.

Po skończonej ceremonji w chacie, podążyli wszyscy do klatki, w której siedział

niedźwiedź, i tu powtórzył gospodarz, wraz z kilkoma poważniejszymi gośćmi libację, podając następnie kilka kropli trunku niepokojącemu się mysiowi. Widać, że mu to najście tylu obcych wcale się niepodobało, wywrócił bowiem podaną czaszę, nietknąwszy napoju. Wnet rozpoczęły się tany. Panny i mężatki klaszcząc w dłonie i śpiewając monotonne piosnki, skakały jak opętane dokoła klatki; później przyłączyła się do grona tańczących sama gospodyni i kilka innych matron, które już nie jednego wychowały niedźwiadka, a chociaż łzy im z oczu płynęły obficie, tańczyły koło niedźwiedzia, głaszcząc i klepiąc biedaka po grzbiecie. Widocznie rozczuliły mysia te pieszczoty, gdyż zaczął się niepokoić i skakać po klatce, szarpać jej pręty i wyć przeraźliwie. Niemal jednocześnie odgrywała się druga scena około świętego częstokołu, który świątecznie ustrojono, osadzając na nim aż pięć nowych „inabo", ozdobionych liśćmi bambusowymi. Bambusem ubierają w dniu dzisiejszym „inabo" na znak ponownego odżycia zabitego niedźwiedzia. Prócz „inabo" wywieszono na częstokole miecze i święte kołczany, trzy łuki i trzy strzały, które mają posłużyć do zastrzelenia niedźwiedzia, tudzież różne ozdoby jako: kolce i naszyjniki do ozdobienia nimi nieżywego zwierzęcia. Tu rozpoczął naczelnik z Oshamambe nowe libacje bogom, którym podwórze było poświęcone, poczem trzej młodzieńcy mający polecenie wydobycia niedźwiadka z klatki, umieścili trzy nowe „inabo" na świętym częstokole.

Tymczasem skutki wypitego „sake" stawały się z każdą chwilą coraz widoczniejsze, krzyki, śpiewy, tańce coraz bardziej potęgowały się, potrzeba więc było przystąpić do ostatniego aktu, — ofiarowania niedźwiedzia. Najdzielniejszy młody Ainos dostąpił zaszczytu wyciągnięcia z klatki niedźwiedzia. Przyodziawszy suknię świąteczną, przystępuje do dzieła, odejmuje ze stropu klatki belek i zarzuca przez otwór arkan na szyję niedźwiedzia, którego następnie wyciąga i po całem domostwie oprowadza, aby je raz jeszcze obejrzał i pocieszył się przed śmiercią wrzekomą wolnością. Pod przewodnictwem naczelnika rozpoczyna się strzelanie z łuków poświęconych, a poranione zwierzę ciągną przed święty częstokół, gdzie je dziewięciu mężczyzn klęczących na podstawionym belku dodusza. Tymczasem kobiety i dziewczęta rozpoczynają tany, i wrzeszcząc przeraźliwie uderzają po plecach duszących niedźwiadka mężów, chcąc im niejako w ten sposób odpłacić za popełnione okrucieństwo. Uduszonego mysia czyszczą z kurzu, a złożywszy na macie przypasują miecz i kołczan, (a jeżeli to była niedźwiedzica stroją ją w kolce i naszyjniki) zastawiają następnie potrawę z jagieł omaszczoną tłuszczem rybim, konewczkę z napojem „sake", kubek i pręcik opatrzony wiorami. Dokoła siadają mężczyźni ofiarujący pod przewodnictwem najstarszego wiekiem i rozpoczynają pijatykę na wielkie rozmiary, aż w końcu sen skleił im powieki i usnęli na matach.

Tymczasem młódź i kobiety, które mniej do czaszy zaglądały, nowe rozpoczynają tany, te jednak dzięki coraz częściej krążącym kieliszkom, przeistaczają się w dzikie orgie, i w tych przedewszystkiem starsze kobiety czynny biorą udział, śpiewając przy tem pieśni składające się z ciągle powtarzanych słów nie wielu, nie mających zwykle najmniejszego znaczenia.

Nie będziemy opisywali kilku odmian tańca, które chyba samym tylko Ainosom podobać się mogą, wspomnimy tylko, że przestanki tańca wypełniają Ainosi grami towarzyskiemi, z których jedna (bardzo starożytna według ich zdania) na tem polega, iż za jeden koniec sznura ciągnie płeć piękna, podczas gdy chłopcy trzymając drugi koniec w rękach usiłują dziewczęta po za zakreśloną granicę przeciągnąć. (Zabawa ta podobna dziwnie do ludowych „hahułek" na Rusi).

Tymczasem uroczystość doszła do zenitu. Dwóch młodych Ainosów, którzy pomagali wyciągać niedźwiedzia z klatki, wyłazi na dach chaty, a zabrawszy z sobą pełny koszyk kul jaglanych, rzucają niemi na otaczającą dom gromadę. Krzyki, piski, tłumienie się kobiet, młodzi, i starych, uganianie za rzuconem ciastkiem, podobnie jak u nas dzieci gonią rzucone pomarańcze, trwają tak długo, aż w końcu kul braknie w koszyku.

Scena końcowa odbywa się z większą powagą. Zwykle na drugi dzień zbiera się na nowo cała drużyna w celu zakończenia uroczystości. Młody Ainos ściąga w obecności całej gromady umiejętnie skórę z niedźwiedzia, a odciąwszy głowę od tułowiu, pozostawia takową w łączności ze skórą. Wytoczoną krew chwytają obecni chciwie w podłożone kubki, które krążą z rąk do rąk z czerwonym nektarem; wątrobę dobytą krają na drobne cząstki a posoliwszy zjadają jako niezwykły przysmak, podczas gdy mięso i wnętrzności odnoszą do domu i rozdzielają drugiego dnia między uczestników uroczystości. W czasie paproszenia niedźwiedzia rozpoczynają dziewczęta i kobiety taniec dokoła świętego częstokołu, starsze zaś matrony, które dopiero przed chwilą w gronie młodszych szalały, wznawiają ponowne szlochy. Zdjętą skórę wraz z głową kładą przyozdobioną pod częstokół, a zasadziwszy nowy „inabo" powtarzają libację. Tymczasem pozostał jeszcze jeden nietknięty przysmak, a tym jest mózg w czaszce niedźwiedziej. Odjęto więc skórę z lewej strony czaszki (u niedźwiedzicy z prawej strony) a wyłamawszy otwór wyciągnięto mózg, który zmięszany z napojem wypito, w miejsce zaś mózgu napchano świętych wiórów. Podobnie też uwieńczono głowę wiórami, a paszczę nieboszczyka wypełniono listkami bambusowymi. Nakoniec jeden z uczestników pełniący służbę rzeźnika, wyjął oczy zwierzęcia, owinął je wiórami i napowrót zasadził w oczodoły. I znowu taniec ogólny i suta libacja towarzyszyły tej świętej operacji, aż nareszcie powieszono skórę na półtrzeciametrowym drągu, ustrojoną w kołczan i miecz, a po obydwóch stronach umieszczono w celu podniesienia świętości po jednym „inabo" owiniętym w listki bambusowe. Jeszcze jedna libacja, w której i starsze matrony roniąc łzy udział biorą, a uroczystość skończona. Cała zaś gromada pożegnawszy się teraz ceremonialnie z uprzejmym gospodarzem rozchodzi się do domów i tylko niedobitki, którym jeszcze niewywietrzało „sake" z głowy, pozostają, by nazajutrz unieść resztki świętego mięsiwa do domu.

Wład. Boberski.

Przegląd literacki.

(Szkic z Anglji, Sewera, w 3 częściach. Lwów nakładem księgarni K. Łukaszewicza. 1883.)

Nie podobna lepiej zcharakteryzować, naród, który po Szekspirze i Newtonie w kilku wiekach ostatnich — wydał tyle innych wielkich geniuszów, — jak to się udało Sewerowi w przedmowie do świeżo wydanych jego „Szkiców z Anglji". Naród angielski — pisze tam — wychowany pod opieką wolności, pracowity i wytrwały — religijny i odważny — przebiegły, a naiwny — poważny, a posiadający przytem wiele komizmu — pełen form, a mimo to oryginalny, — praktyczny i jednocześnie dziecinny, dla którego zysk jest Bogiem a religia rozpada się w najrozliczniejsze odcienia sekt; uwielbiający wolność, a nieznoszący równości, goniący za odkryciami i gwałtownemi zmianami w przemyśle i nauce, a trzymający się uparcie starych form...". Chcąc dojść samemu do takich prawd, które w swej definicji już są zrozumiałe dla każdego, kto tylko choć pobieżnie zna dzieje starej Anglji — potrzeba przedewszystkiem i koniecznie długiego pobytu pomiędzy tymi dumnymi a nie łatwo przystępnymi synami

Albionu, a potem talentu danego z natury a zwanego pospolicie, zmysłem spostrzegawczym. Autor „Szkiców“ bawił długie lata w Anglji, zmysł spostrzegawczy posiada w wysokim stopniu wykształcony, jak to zresztą wiedzą wszyscy, którzy mieli sposobność przeczytać choćby jednę tylko nowellę Sewera. Więc łatwo pojąć, że pisarz wyposażony tym przymiotem a władający językiem w sposób oryginalny, pod względem stylu nie pozostawiający nic do życzenia, gdy zbudziła się w nim ochota, odwzorować otaczające go przez długie czasy społeczeństwo, zdołał wywiązać się z zadania tak, że pod skromną nazwą „Szkiców“ stworzył arcydzieło niepospolitej wartości. Przeczytawszy „Szkice“ Sewera — dodać należy, że się je tak łatwo i przyjemnie czyta, jak powieść najlepszą — dopiero zrozumieć można, że komiczne na pozór figury z utworów genialnego Dickensa, to nie karykatury satyryczne powstałe w bujnej fantazji pisarza, ale żywi ludzie, których co krok się spotyka w Anglji tak dobre dziś, jak przed kilkudziesięciu laty — i dalej — jak przed kilkuset laty, za czasów nieśmiertelnego Szekspira.

W „Szkicach“ Sewer przedstawił właściwie jeden tylko, oczywiście olbrzymi odłam społeczeństwa angielskiego — burżoazję. Pominął arystokrację, która w Anglji zawsze jeszcze stanowi walną część społeczeństwa, i minął liczną, liczniejszą niżeli gdzie indziej może, klasę robotniczą. Nie robimy mu z tego tytułu zarzutu, bo ostatecznie pisał pod wpływem tego, na co najczęściej może patrzył własnemi oczyma — ale w takim razie — raczej „londyńskiemi“ zwać by się powinne te bezprzecznie śliczne jego obrazki, przeniesione żywcem na papier, wnętrza ulic i domów czteromiljonowego olbrzyma. Wprawdzie każdy Anglik utrzymuje z dumą podobnie jak W. Hugo, o Paryżu — że Londyn to — Anglja — nie spieramy się o to, — nie godzi się jednak przeoczyć, że i w tym Londynie prócz komicznych a przebiegłych masterów — w tejże formie — uganiających się całe życie za biznesem i bifstykiem przy porterze — nie brak zapewne wielu a wielu innych równie ciekawych i oryginalnych typów. Ogólny charakter narodowy, być może da się określić tem jednem słowem: b i z n e s — interes — (nie znając Anglii, trzeba wierzyć piszącym o niej na słowo —) w szczegółach jednak nie brak różnobarwności, nastręczającej pisarzowi nie zliczone mnóstwo coraz to świeżych a wdzięcznych epizodów. Sewer cokolwiek przedstawiał, uczynił to, rzec można śmiało, po mistrzowsku, zdaje nam się jednak, że wyczerpał tylko małą cząstkę i jednostronnie z całej tej masy typów — w które Anglja tak obfituje.

Stan. W.

ZIARNKA.

Na uczczenie Bożego Narodzenia objedliśmy się porządnie, i napiliśmy się po „staropolsku“. I jakże tu twierdzić, że jesteśmy czem innem, niż nie odrodnymi potomkami naszych przodków, żeśmy nie ich kość z kości, że nie szanujemy przeszłości i nie radzibyśmy tę przeszłość w przyszłość wcielić? Pomimo wszelkich kataklizmów, które przebyliśmy, grunt nasz pozostał taki sam, jak był przed wiekami... Czy to dobrze dla nas samych? Czy to dobrze, że wykaz pijanych z czasów Augusta III. (mamy go w tajnych archiwach redakcyjnych) równa się mniej więcej wykazowi z roku pańskiego 1882? Kwestja to dosyć zawiła, a trzebaby chyba zawezwać w pomoc lwowskie biuro statystyczne, którego znaczniejsza połowa już od roku r e f o r m u j e na n o w o Kraków — niestety napróżno... Ale mniejsza o rzeczy, które tak trudne są do uchwycenia, skonstatujemy raczej, żeśmy się bawili ochoczo, żeśmy na święta byli w tak dobrem usposobieniu, iż kto wie czybyśmy byli się spostrzegli, gdyby coś niespodziewanego było nas zaskoczyło... Rozśpiewani kolendami, rozpromienieni wzajemnemi życzeniami, „zdrowia, szczęścia, pomyślności, rychłego ożenienia, ładnych dzieci“ i t. d. zapomnieliśmy o Bożym świecie — i było nam dobrze. Zapomnienie się nasze doszło nawet tak daleko, że pomimo odezw dzienników, pomimo rozlepionych w Krakowie plakatów, prawie zupełnie nie pamiętaliśmy, o poruszonej przez „Tygodnik Illustrowany“ a następnie powtórzonej przez „Ziarno“, „Gazetę Krakowską“ i „Gazetę Narodową“ propozycji, aby każda polska rodzina przy obchodzie wilji złożyła choćby najskromniejszy datek na pomnik Mickiewicza. Przeglądaliśmy skrupulatnie wykazy datków na ten cel w pismach codziennych, i okazało się, że tych rodzin p o l s k i c h, które poczuły się do obowiązku złożenia ofiarki na pomnik Mickiewicza, jest w Galicji co najwięcej — pięćdziesiąt! Nowy to dowód, jak społeczeństwo nasze pod wpływem rozwielmożonej frazeologji zkarłowaciało... Na ustach szumne frazesy, przyjdzie do czynu nic... — A propos tej składki mamy osobliwą a usprawiedliwioną pretensję do młodzieży akademickiej, bo któż powinien więcej pamiętać o takim celu, jak pomnik Mickiewicza, aniżeli młodzież akademicka? Otoż uniwersytet nasz, po odtrąceniu Rusinów liczy kilkuset uczniów Polaków. Każdy z nich był gdzieś na wilji... Czyż nie było obowiązkiem każdego przypomnąć, że przy wieczerzy należy coś złożyć na pomnik największego z naszych poetów? Z pewnością niktby dłoni nie zamknął — a liczba rodzin, które coś na pomnik Mickiewicza ofiarowały, wzrosłaby z kilkudziesięciu na kilkaset... Ale większa część naszej młodzieży uznała, że taka propaganda nie jest bynajmniej szczeblem do zrobienia karjery, milczała... i oto smutny rezultat składek, jakiegośmy się doczekali, a którego musimy się wstydzić przed innnemi dzielnicami dawnej Polski...

Ale dosyć tych rekryminacyj... Kiedy numer ten dostanie się w ręce szanownych czytelników, na niebie zaświta już rok nowy... I posypią się życzenia, jedne płynące z serca, drugie, za które będzie płacić potrzeba, i znowu nastąpi uroczystość grzebania starego roku, i wznoszenie toastów na cześć nowonarodzonego... Chociaż jesteśmy dalecy od ślepego uwielbiania tradycji, nie możemy przenieść na sobie, aby czytelnikom naszym nie powinszować nowego roku. Życzenia nasze bynajmniej nie są skromne, a jeżeli chcecie się dowiedzieć, jakie są one, odsełamy Was do wiersza p. t. „Nowy rok“ umieszczonego powyżej.

* * *

A więc jest nadzieja, że Lwów oświetlony będzie światłem elektrycznem! Zawiązała się spółka kapitalistyczna złożona z kilku osób, z pomiędzy których wymieniamy pp. Simona, J. Dobrzańskiego i Marchwickiego, która weszła w porozumieniu z reprezentantem Edisona i ma zamiar naprzód w teatrze, a następnie w innych lokalach, wreszcie na ulicach zaprowadzać zamiast dotychczasowego gazowego — światło elektryczne. Spółka ta wysłała już rzeczoznawcę do Białej, gdzie jest wspólnik tejże, jakiś fabrykant i ma na miejscu obliczyć wszystkie wydatki i zrobić plan sieci drutów dla Lwowa. Życzymy z serca powodzenia przedsiębiorstwu, pozwolimy jednak sobie zrobić kilka uwag. Oto lampy systemu Edisona zasilane są elektrycznością z jednego zbiornika, a kontrakt towarzystwa gazowego wyraźnie się temu sprzeciwia, aby oświetlenie tego rodzaju mogło być przed wygaśnięciem rzeczonego kontraktu zaprowadzonem we Lwowie. Czyż nie lepiej byłoby sprowadzić lampy Faure'a z akomulatorami, osobnymi do każdej lampy, a w ten sposób prawnie zanulować kontrakt gazowego towa-

rzystwa Dessauskiego. Wydatek na razie byłby znacznie większy, ale w przyszłości korzyści są nieobliczone. Nie jesteśmy pesymistami, ale obawiamy się, że jeżeli spółka tego nie uskuteczni, plan jej może spotkać ten sam los, jak projektowaną przez p. Dunina sieć telefonów we Lwowie.

* * *

Jak ciężkie więzy ciężą na myśli ludzkiej w Galicji, a szczególnie w Krakowie, jak wielmożny wpływ wywiera pewna klika na nasz ruch umysłowy, niech za dowód posłuży fakt następujący. W jednym z ostatnich numerów krakowskiej „Nowej Reformy" czytaliśmy artykuł p. t. „Przesądy i zabobony" a w nim ustęp, który przytaczamy: „Niedawno pojawiła się nader cenna rozprawa pośmiertna jednego z najzacniejszych lekarzy polskich, dr. Erazma Majewskiego p. t. „O wpływie nauk przyrodniczych i lekarskich na pokonanie przesądów ciemnoty i zniknięcie chorób umysłowych, zwanych „demonicznemi" (Kraków, drukarnia Związkowa 1882. str. 50.) Praca ta nie mogła wyjść na widok publiczny za życia autora, gdyż jak powiada on w przedmowie, ogłoszenie jej w Krakowie napotkał, na pewne trudności, wyrażano bowiem obawy, ażeby studjów nad przesądem i czarami, nie uważano tu za przynoszące ujmę religji chrześcijańskiej. Ktokolwiek wszakże przeczyta tę rozprawę z uwagą, łatwo się przekona, że ona owszem dowodzi, że te straszne klęski, którym dawniejsze wieki ulegały, owe palenia czarownic na wielkie rozmiary, owe Justizmorden Niemców były zupełnie przeciwne duchowi religji, jak cień do światła i że dopiero nauki przyrodnicze i lekarskie odniosły stanowcze zwycięstwo nad błędami niewiadomości i położyły koniec tym okropnym nadużyciom. „Czyż nie ilustruje to wybornie stosunków, że takiego dziełka nie mógł autor wydać za życia, czyż nie dowodzi to, że „Pół-Azja" nie jest dla nas mianem wcale przesadnem?

* * *

Z Krakowa... Stary gród podwawelski zaczyna się ruszać nie żartem. Zaledwie donieśliśmy o zapowiedzi nowego organu postępowej młodzieży krakowskiej, „Przyszłość", gdy znowu dochodzi nas wieść o piśmie pod tytułem „Przegląd Narodowy", które konserwatywny obóz młodzieży zamierza wydawać w Krakowie. Wybornie! Nic tak nie ożywia ruchu umysłowego, jak starcie przekonań. W takiem tylko starciu określają się, klarują się one, stają się bardziej stanowcze i wyraźne. Walka zagrzewa zapaśników, myślom daje polot, koloryt, elastyczność, zaostrza je, bo tępym mieczem nikt nie wojuje. Za długo już społeczeństwo nasze hołduje ślamazarnej opinii, że jedynie dobroduszna i owcza jednomyślność nas zbawi. Jest pewna indolencja, lub zwykły faryzeizm w tem twierdzeniu, bo jednomyślność ta, to zawsze tryumf przekonań utartych, przyjętych, dogodnych, przeciwko którym nikt nie śmie wystąpić śmiało i otwarcie.

Gdzie się podziały te stare dobre czasy kiedy to w Krakowie niepodzielnie królował „Czas" i jego falanga! Dziś prócz „Czasu" ma odmładzający się Kraków Nową Reformę, ba i Gazeta Krakowska siamskim trybem połączona ze starą Reformą. Sterany w walce i zakrawający często już na safandułę Djabeł, powinien się cieszyć z tego przyrostu opozycyi, a choćby tylko konkurencji... I Przegląd Polski ma coś niby współrówieśnika w osobie Przeglądu literackiego który, tylko w humorystycznym odcinku zdradza pewne „warcholskie" zachcianki, w wyższych zaś piętrach jest za to aż nadto poważnie nudnym...

Mamy nadzieję, że gdy młodzież krakowska wystąpi na tę publicystyczną arenę, bardziej jeszcze się ona ożywi. A trudno o miasto, w którem by śmiała myśl postępowa miała grunt bardziej sprzyjający. Krańcowy konserwatyzm, z natury rzeczy, w młodej i pełnej życia młodzieży wywoływać winien żywą opozycję. A młodzieży tej w Krakowie nie mało. Uniwersytet, nie taki, jak nasz lwowski, posiada wydział medyczny, który daje pozytywną wiedzę i realny pogląd na świat... Prócz uniwersytetu przytem istnieje szkoła techniczna, szkoła sztuk pięknych i wiele innych. Młodzież ta przytem nie rekrutuje się wyłącznie z klas wyższych, przeciwnie, w żadnem może polskiem mieście nie ma tyle młodzieży kształcącej się, wychodzącej wprost z ludu.

Pod dobremi auspicjami zaczyna Kraków rok nowy... Młodym siłom, pracującym tam dla przyszłości, szlemy z nadpełtwiańskiej stolicy serdeczne pozdrowienie i zachętę do wytrwania w pracy.

ZAPISKI.

Literatura.

* Dramat T. T. Jeża „Narzeczona Harambaszy", zalecony został do grania przez komisję teatralną w Warszawie. Znawcy odzywają się z ogromnemi pochwałami o tym pierwszym utworze dramatycznym znakomitego naszego pisarza.

* Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie, ukazały się świeżo dwa tomy „Pism Supińskiego", oraz tom drugi „Szkiców historycznych" Smolki; a staraniem F. Sulimierskiego wyszedł w przekładzie z czeskiego Dra Jarosława Vlacha „Lud afrykański w świetle najnowszych badań".

* Jeden z najwcześniejszych i najlepszych tłumaczów Szekspira, Jan Komiorowski, człowiek zacny i prawy obywatel, żołnierz b. wojsk polskich, poźniej urzędnik, zmarł w Warszawie w połowie tego miesiąca.

* Kustosz Bibljoteki w Hali, dr. Karol Werner mianowany profesorem literatur słowiańskich w Kopenhadze, rozpocznie w styczniu odczyty o piśmiennictwie polskiem w uniwersytecie tamecznym.

* „Dzieje stosunku wiary do rozumu," znakomite dzieło J. W. Drapera w przekładzie Jana Karłowicza, wyszło w Warszawie nakładem L. Polaka. W dwunastu obszernych rozdziałach wielki uczony i badacz zebrał wszystko, co historja ludzkości nastręcza jako materjał dla pozytywnej krytyki, i z właściwym sobie talentem genialnym skreślił rozwój i przebieg stosunku wiary do rozumu człowieka. Język tłumacza jasny i poprawny,

* „Hygiene sociale contre le paupérisme" dzieło Adolfa Coste, uwieńczone konkursową nagrodą 5000 franków z zapisu Izaaka Pereire,wyszło ostatniemi czasami w Paryżu z pod prasy.

* Hektor Malot płodny i utalentowany romansopisarz francuski, napisał nową dwutomową powieść pt. "La pette sour". Należy ona do najlepszych podobno jego utworów.

* W ostatnim tomie Encyklopedia Britanica znajduje się życiorys Mickiewicza.

* Wspaniałe wydanie dzieł Goethego, przedsięwzięte przez księgarnię Hallbergera w Sztutgardzie doszło do 18 zeszytu, zamykającego tom pierwszy.

Ilustracje w tym tomie dają świetne świadectwo dla ilustratorów niemieckich i ksylografii, chociaż pod względem inwencji i gustu w rysunku najwyższej stoją ilustracje Lossowa, pełne humoru i wdzięku. Tom pierwszy zawiera poezje Goethego i Hermnaż

Teatr i muzyka.

* Henryk Jarecki, warszawianin, b. kapelmistrz opery polskiej we Lwowie, udał się na stały pobyt do Paryża. Przed kilkoma dniami orkiestra Pasdeloup'a wykonała uwerturę Jareckiego do „Balladyny." Pełen talentu kompozytor nasz zwrócił nią na siebie uwagę krytyki i protektorów sztuki

* Marcelina Sembrich Kochańska wystąpiła zeszłego tygodnia na scenie opery włoskiej w Petersburgu. Na pierwszy swój występ artystka wybrała partję Ofelji w „Hamlecie". Powitanie artystki było nader gorące... Wśród wieńców wyróżniał się jeden lakonicznym, a wymownym napisem „Enfin".

* Verdi wybudował w miejscu swego urodzenia, Busetto w własnym kosztem szpital, i urządził go z wszelkiemi wygodami.

* W Hamburgu przedstawiona zostanie wkrótce nowa opera Jul. Massenetta „Herodjada„.

* Massenet, utalentowany kompozytor „Herodjady", pisze obecnie nową operę, do której libretto wzięte ze znakomitego romansu W. Hugo „Notre Dame de Paris". Utworem tym będą podobne inaugurowane przedstawienia w nowej operze ludowej w Paryżu.

* Bornstern — Björnson opuszcza ojczyznę swoją i przesiedla się do Paryża wraz z żoną i dwie-

ma córkami. znakomity pisarz chce się utrzymymać tylko z prac literackich.

Sztuki piękne.

* Wiktor Brodzki wykończył ostatecznie swego „Batorego“, tudzież dwa inne utwory, a mianowicie „Kopernika“ i „Venus enivré d'amour“, ta ostatnia przeznaczona na międzynarodową rzymską wystawę sztuki.

* W Krakowie wystawiony jest obecnie najnowszy obraz mistrza Siemiradzkiego „Piraci“, treść którego wziął artysta z życia korsarzy w starożytności. Z Krakowa obraz przybędzie do Lwowa, następnie do Warszawy.

* Dla zebrania funduszu na zakupno „Gladyatora“ Welońskiego powstała w Krakowie myśl wydania zbiorku szkiców pt. Gladyator. Na ozdobną kartkę tytułową ogłoszono konkurs, który d. 30 bm. ma być rozstrzygnięty.

* W tych dniach zmarł w Warszawie Antoni Kołobrzeg Kolberg, artysta—malarz. Kolberg urodził się w roku 1816-ym w Sandomierskiem i po ukończeniu tamtejszego liceum poświęcił się malarstwu. Udawszy się dla dalszego kształcenia się w tym zawodzie do Berlina, zwiedził później akadamje paryską i rzymską, poczem w roku 1847-ym wrócił do Warszawy. W ostatnich czasach Kolberg był nauczycielem rysunku w gimnazjum na Krakowskiem Przedmieściu. Płótna jego, przeważnie treści religijnej, już od pierwszego wystawienia „św. Jana na puszczy“, zwracały uwagę znawców. Z licznych jego obrazów wymienić należy „św. Emilję“ i portret biskupa Benjamina Szymańskiego, dobrze znany z rozpowszechnionych sztychów. Jego też pędzla są: artystyczny plafon w dzisiejszej cukierni Loursa, część fresków w kościele Wilanowskim i freski w sali głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

* Ajdukiewicz Tad. utalentowany malarz krakowski, pracuje obecnie nad portretem p. A. Hoffmann, znanej artystki dramatycznej. Portret ten artysta pono przeznaczył do Muzeum w Sukiennicach, gdzie już znajduje się portret Modrzejowskiej pędzla również Ajdukiewicza.

* W drodze do domu nazywa się ostatni obraz G. Maxa, który wystawiony w Norymberdze ściąga tłumy widzów. Treść obrazu prosta, jak we wszystkich Maxa, sprawia olbrzymie wrażenie. Dziewczę — wracając do domu, zmarzło w drodze, wśród zawiei śnieżnej. W lewej rączce trzyma jeszcze kromkę chleba, a na twarzyczce jej panuje już spokój grobowy. Wykonanie obrazu podobno mistrzowskie.

* Henryk Hussaye, syn znanego powieściopisarza Arsena, wydał temi czasy w Paryżu dzieło pt' „L'art francais depuis dix ans“. Autor skutkiem swego prawdziwego wykształcenia artystycznego, a przytem pisarz wykwintny, należący do powag francuskich w dziedzinie estetyki, sprawił ostatnią swą pracą powyższą wiele wrzawy w paryskim świecie artystycznym. Francuscy malarze, uważają się za najlepszych współczesnych artystów, i wypowiadają otwarcie, że oni to odrodzili europejską sztukę. Tymczasem p. Houssaye powiada im we wspomnianem dziele bez ogródki, że znajdują się na ślizkiej pochyłości do upadku, i że sztuka francuska od lat dziesięciu biorąc za probierz coroczne wystawy, objawia chorobliwe dążności, a wielkie tradycje artystycznie giną widocznie.

* Młody i utalentowany rzeźbiarz paryski Falguiéres powziął zamiar wykonania olbrzymiej grupy przedstawiającej Francję na tryumfalnym rydwanie ciągnionym przez cztery rumaki wśród amblematów pokoju i wolności, która to grupa ewentualnie ulana ze spiżu, stanąć ma na szczycie znanego powszechnie „Łuku“ tryumfalnego na placu Gwiazdy. Projekt jego zyskał ogólne uznanie w kołach artystycznych, artysta postanowił wykonać go własnym kosztem w naturalnych rozmiarach, i wystawić na widok publiczny na miejscu, dla którego jest przeznaczonym, tj., na szczycie Łuku. Chce on w ten sposób zbadać głos opinii i krytyki, i stosownie do niego plan swój ulepszyć. Posąg zatem, który obecnie stoi na wierzchołku Bramy Tryumfalnej, jest tylko modelem artystycznym.

Miscelanea.

Historja lubi czasem płatać dziwne figle, a nad rozwiązaniem tajemnic jej pracują nieraz badacze wieki całe, i rady dać im nie mogą. Rzadko zaś które czasy kryją tyle nierozjaśnionych zagadek, jak czasy wędrówek narodów. Burza przeszła wówczas przez Europę, nic się jej oprzeć nie mogło, obaliła wszystko niemal, a to co po niej pozostało. nie było dziełem skończonem, lecz raczej dało podstawę tylko późniejszym organizacjom. Jaki jednak jest początek owych pierwszych społeczeństw, zkąd ród swój wiodą — oto pytania, na które dotąd jasno i dobitnie jeszcze nie odpowiedziano. Węgrzy, a raczej ich pochodzenie przedstawia dotąd jedną z takich tajemnic. Podczas gdy jedni każą im pochodzić ze szczepów ugro-fińskich, od koczowniczych azjatyckich Ostjaków i innych dotychczas prawie dzikich ludów, inni bratają ich z szczepem rycerskim tureckim, lub co najmniej turecko- tatarskim. Oczywiście braterstwo z owymi dzikunami azjatyckiemi nie może być ani zbyt zaszczytnem ni też ponętnem. Toż Węgrzy bronią się przed niem, jak mogą. I rzeczywiście sądząc z historji, należałoby im koniecznie przeznaczyć nieco poczestniejsze miejsce, boć wiele sił umysłowych, nie pospolitą tegość charakteru musi mieć naród, który mimo, że tak nie liczny, mógłby zaimponować ludom o tysiącletniej przeszłości.

Profesor Vambery wydał w Lipsku książkę pt. „O pochodzeniu Węgrów“, w której dowodzi, że są oni jednego pochodzenia z Turkami. Nie podobna w tem miejscu zdać dokładnie sprawy z tak wielkiego dzieła, nadmienimy tylko, że znacznie mniejszą część jego zajmuje historja, a większą badania językowe. Na ich to podstawie przychodzi uczony badacz do przekonania, że pochodzą oni z tego samego szczepu, co i Turcy. Język węgierski jest mową, powstałą ze zmięszania się kilku innych, a znacznie przeważa w niej żywioł turecki, co profesora Vambery'ego utwierdza w przekonaniu o wspólnem pochodzeniu tych narodów.

Dziś uczeni poczynają się zastanawiać nad pomysłami szanownego autora, zarzucają mu niedostateczną argumentację, odrzucają wprost jego hipotetyczny, co w każdym razie dowodzi zainteresowania się tą sprawą, to zaś bez porównania lepsze, niż milczenie.

Dla charakterystyki Turgieniwa podajemy jeszcza dwa ustępy z ogłoszonych przez niego niedawno „Stichi w prozie“.

Wróbel,

Powracałem z polowania i szedłem przez ogrodową aleę. Pies biegł przodem. Nagle, zwolnił kroku i począł się skradać, jak gdyby poczuł przed sobą zwierzynę. Spojrzałem po alei i ujrzałem młodego wródla z żółtym jeszcze dzióbkiem i puchem na głowie. Wypadł z gniazda (wiatr w alei silnie kołysał brzozy) i siedział nieruchomy, rozczupierzywszy bezsilnie, zaledwie porastające skrzydełka. Pies mój zwolna zbliżał się do niego, gdy nagle, zerwawszy się z pobliskiego drzewa, stary wróbel z czarnem na piersiach pierzem padł jak kamień przed samym jego psykjem — i cały zaperzony, zmieniony, z ropaczliwym i żałosnym piskiem, furknął kilka razy ku zębatej roztwartej paszczy. Rzucił się on na ratunek, zasłonił sobą swoje dziecię... ale maleńkie jego ciało całe drżało z przerażenia, głosek zdziczał i ochrypł, zamierał, poświęcał samsiebie! Jakim-że olbrzymim potworem wydawać mnie się musiał ten pies! A jednakże nie mógł dosiedzieć na swojej wysokiej, bezpiecznej gałązce... Siła, potężniejsza od jego woli, strąciła go ztamtąd. Moj Trezor stanął i cofnął się... Widocznie i on uznał tę siłę. Odwołałem czemprędzej pomięszanego psa i oddaliłem się przejęty uwielbieniem. Tak jest; nie śmiejcie się. Uwielbiałem tego maleńkiego, bohaterskiego ptaszka; i wybuch jego miłości. Miłość, pomyślałem sobie, silniejszą jest od obawy śmierci i od śmierci. Tylko przez nią: i tylko przez miłość trwa porusza się życie.

Pies.

Dwoje nas w pokoju pies mój i ja.. Na dworze wyje straszna burza. Pies siedzi przedemną i patrzy mi w oczy, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć Niemy on, bez słów, sam siebie nie rozumie — ale ja go rozumiem. Rozumiem, że w tej chwili i w nim i we mnie, istnieje jedno i to samo uczucie, że między nami niema żadnej różnicy, Jesteśmy zupełnie jak jeden ; w każdym z nas płonie i świeci tenże sam drżący płomyk. Śmierć nadleci, machnie swojem szerokiem skrzydłem... — I koniec!

Kto potem dojdzie, jaki właśnie w każdym z nss tlał płomyczek. Nie! to nie zwierzę i człowiek zamieniają spojrzenia... To dwie pary jedynakich oczu, zwróconych na siebie. — I w każdej z tych par, w zwierzęciu i w człowieku — jedno i toż samo życie bojaźtiwie tuli się do drugiego.

Treść:

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za niezrównane środki

mianowicie:

ANTILENTTILIA

usuwa piegi, oparzenia słoneczne, plamy wątrobiane nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 1 zł.

WODA FIJOŁKOWA

niepórównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa**, niszczy **wągry**, t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie nikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność. Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą.

Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym **włosem**. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleźć wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571. 3-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

we Lwowie, ulica Kopernika l. 3, w Krakowie, Sukiennice l. 20.

Najświeższe

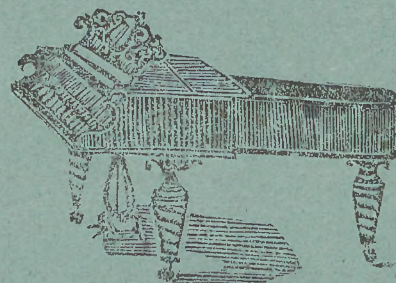
TAŃCE

Br. Rakowieckiego:

„Niebieskie migdały“ walec .	1 zł. —	ct.
„Ciocia Kizia“ polka . .	— „	50 „
„Pocieszny facet“ galop . .	— „	50 „
„Vivat semper wolny stan“ polonez	„	80 „
„Rozmowa Gogątek“ kadryle .	— „	64 „
„Na fali“ polka mazurka .	— „	50 „

Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

w Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)

Do zasiewów wczesnych i inspektów

wszelkie nasiona jarzyn i kwiatów

najszlachetniejszych odmian ostatniego zbioru otrzymał i poleca

Główny skład nasion

TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie,

przy placu Halickim liczba 15.

w gmachu Banku Hipotecznego.

Nowy Katalog główny na r. 1883 odsyła na żądanie franco.

Skład futer

B. SZARKIEWICZA

we Lwowie

ulica Wałowa liczba 3,

(dom W. Wieczyńskiego)

poleca swój

SKŁAD FUTER

zaopatrzony we wszelkie gatunki jak tylko w zakres tego handlu wchodzić mogą.

Wszelkie zamówienia tak miejscowe jak na prowincję jak najspieszniej się wykonują.

Dziękując za dotychczasowe względy, proszę Szan. P. T. Publiczność o dalsze zaufanie.

KAZIMIERZ LEWICKI

Główny skład dla Galicyi

Szkła, Porcelany

i

towarów mięszanych

we Lwowie, ulica Trybunalska l. 6.

założony w r. 1845.

poleca

MUSZLE

(KONCHY)

morskie naturalne do pasztecików i t. p.

12 sztuk 2 złr.